



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Wydawca Michał Glücksberg

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KANTORZE DRUKARNI

Piotra Laskauera i S-ki.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszu” po kop. 15 za wiersz pełitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austryackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgera i Spół. kwart. 5 marek.

POLKI w współczesnej literaturze i sztuce.



II.

Deotyma (Jadwiga Łuszczewska).

Mamy dzisiaj przed sobą niezmiernie trudne zadanie: w pobieżnym szkicu wypada nam nakreślić sylwetkę postaci tak bogatej w zalety umysłu i serca, tak szlachetnej i wzniosłej, że na wyliczenie wszystkich jej zasług względem społeczeństwa, z łona którego wyszła, wszystkich darów, któremi je zasypała, wszystkich cnót wreszcie, które w duszy swej pielęgnowała, starała się jednocześnie krzewić je między swoją bracią — należałoby pisać całe tomy.

Ograniczeni szczupłością miejsca, postaramy się zatem tylko o główne jej rysy; ciekawych zaś odsyłamy do jej własnych prac, które dadzą im niezawodnie o wiele lepsze pojęcie o tej wielkiej poetce i dobrej a rozumnej kobiecie.

Deotyma przyszła na świat w Warszawie w roku 1834-ym, d. 1-go sierpnia, w domu, zwanym kamienią po-missionarską, przyty-



Jadwiga Łuszczewska (Deotyma).

kającym do byłego pałacu Staszycy, a położonym naprzeciwko pałacu Sapiehów, później Zamoyskich. — Już jako dziecko okazywała niepospolite zdolności poetyckie, wyrażające się w przygodnie improwizowanych wierszykach, które układała z łatwością przy lada okazji.

Rodzice jej, Wacław i Magdalena z Żółtowskich Łuszczewscy, otaczali obie swoje córki, Jadwigę i starszą o lat kilka Kazimierę, niezwykle staranną opieką.

„Matka nasza” — pisze Deotyma w swym pamiętniku, — „nie chciała nas powierzać żadnemu obcemu wpływowi; chciała nas mieć ciągle pod swoim, głęboko obmyślanym kierunkiem. Z planu wychowania wykluczyła wszelkie obce języki, bo według niej czeza ta nauka zużywa napróżno siły umysłu i pamięci. Zamiast poznawać pięć rozmaitych sposobów, jakimi można myśl wyrazić, lepiej jest użyć tego samego czasu na zdobycie pięciu nowych myśli.”

Z powyżej przytoczonych słów możemy sobie zdać jasno sprawę, jaka idea ożywiała wychowanie dzieci w domu państwa Łuszczewskich. Nie chodziło tam bynajmniej o nabycie tego blichtru światowe-

go, którym tak lubią błyskać bezduszne często lalki salonowe, ale o pogłębienie ducha jak najliczniejszymi wiadomościami.

Z nauczycieli, którzy pracowali nad jej wykształceniem, poetka wymienia sama tylko Józefa Sikorskiego i Antoniego Wagę... Pierwszy uczył ją muzyki, drugi wykładał nauki przyrodzone i rzeczy dotyczące języka ojczystego, którego, według słów poetki, był dobrym znawcą.

„Ale te obce głosy“ — mówi poetka — „mało wnikały w moją duszę; tylko ręka ojca i matki zostawiła w niej taki posiew, który kiedyś mógł wydać plony. Wszystko, co wiem, co umiem i czem jestem, zawdzięczam jedynie i wyłącznie rodzicom.“

Pierwszą książką, jaką zrobiła na poetce głębsze i nigdy niezatarte wrażenie, była „Róża na Tannenbergu“ księdza Schmidta; ona to zachęciła poetkę do namiętnego czytania, które dopełniało jej wykształcenie.

W r. 1843-im państwo Łuszczewscy, wybrawszy się w podróż, wzięli ze sobą obie córeczki i zwiedzili razem z niemi Kraków, podówczas jeszcze wolne miasto, Wieliczkę i Wiedeń.

Podróż ta rozbudziła w duszy młodej Jadwini całe roje uczuć i myśli nowych, które się same przez się oblekały w szaty poezji.

Za powrotem do domu dziewięcioletnia dziewczeczka zaczęła tworzyć coraz to nowe piosenki, sama wszakże nie była z nich zadowolona, aż wreszcie napisała wiersz pod tytułem: „Niebo we śnie“, który jej się wydał lepszym od innych.

Twórczość tę podnieciła jeszcze następująca okoliczność: Kazimiera i Jadwiga, czytując wychodzący w owym czasie „Magazyn dla dzieci“ i „Zorzę“ Pauliny Krakowowej, wpadły wreszcie na pomysł wydawania własnego pisemka.

Pomysł ten doszedł do skutku — i od pierwszego stycznia r. 1846-go aż do pierwszego czerwca r. 1849-go co miesiąc regularnie wychodził jednoarkuszowy zeszyt, zawierający: rozprawy naukowe, recenzje, ballady, komedijki, powiastki, humoreski, a nawet szarady, rebusy i ogłoszenia.

Pisemko to było naturalnie pisane i nosiło tytuł „Pszczółka.“ Później poetka odbywała jeszcze kilka podróży, raz towarzysząc wyjeżdżającej na kurację matce, raz ojcu, który przez czas dłuższy zamieszkiwał kolejno w Jadrynie, Symbirsku i Czernobylu — i z podróży tych wywiozła wiele wrażeń i obserwacji, które — kształcąc jej umysł i rozwijając wyobraźnię, przyspieszały rozkwit jej niepospolitego talentu.

Pierwsze listki wawrzynu padły u stóp Deotymy z powodu jej natchnionych improwizacji, które wygłaszała w r. 1852-im na słynnych poniedziałkowych zebraniach w domu swych rodziców.

Wobec liczego grona znakomych gości ośmnastoletnia paniątka improwizowała na zadany temat tak pięknie, że wszystkich wprawiała w zachwyt; czasopisma z tego roku pełne są entuzjastycznych pochwał, podnoszących niezwykły talent poetki.

„U właściwego improwizatora“ — pisze w swoich „Listach z Krakowa“ znakomity estetyk, Józef Kremer, — „forma jest wszystkim, bo

obok niej strona wewnętrzna, duchowa, jest pusta i głucha, więc stać go jedynie na obrazy dawno opatrzone, przenośnie, porównania zużyte, zblakowane; po nie to sięga improwizator do pamięci, jakoby do składu różnorodnych zapasów, gromadzonych na wszelki przypadek.

„Inaczej u Deotymy, słysząc ją, trudno wstrzymać podziwienie swoje, taka uroczą świeżość technic z tych jej improwizacji zwroty tak uderzające, bo niespodziewane, obrazy świecące kolorytem tak pełnym przepychu, taka tu oryginalność w przenośniach!

„Wszak nawet wyrazy pojedyncze, użycie języka, władanie mową, wyraźnie świadczy, że tu technic idzie z góry, że tu duch poezji ocenił duszę improwizatorki naszej.“

Nie będziemy tu przytaczali wszystkich zdań o improwizacjach Deotymy, choćby tylko takich znakomitości, jak Zygmunt Kaczkowski, Franciszek Wężyk, Kajetan Koźmian, Franciszek Salezy Dmochowski, bo i na to nie starczyłoby nam miejsca — ale przejdziemy od razu do jej drukowanych poezji, których niepospolita piękność postawiła ją u szczytu zasłużonej sławy.

W r. 1854-ym wydała poetka pierwszy tomik swoich utworów lirycznych, zatytułowany „Poezye i Improwizacye.“

W tymże samym czasie, oprócz tych prac ulotnych, pokusiła się już i o dłuższe poematy.

Poetka w pamiętniku swoim sama opowiada o tych próbach epicznych.

„Z początku“ — pisze: — „najwięcej mię nęciły ideały kobiece, zwłaszcza Wanda i Jadwiga, między którymi chętnie i Dąbrówkę stawiałam, dla dopełnienia trylogii niewieściej.

Dąbrówka jednak najmniej mię porywała. Wandy jeszcze nie mogłam dobrze wyrozumieć, więc się najpierw rzuciłam do Jadwigi.

Miał to być dramat nie sceniczny, ale fantastyczny, niby jak „Faust“ czy „Manfred“ z chórami na ziemi i w niebie.

Plan osnuł się wcale dobrze, ale gdy wzięłam się do jego wykonania — przebóg! dopiero wtedy zobaczyłam, jaka jest przepaść między tworzeniem krótkich wierszy, a długich poematów.

„Jadwigę“ napisałam wówczas dwa razy, ale niestety, oba rękopisma nie podobały się rodzicom, a później i mnie.“

Później poetka rozpoczęła poemat w 24-ch pieśniach p. t. „Piast.“

Taka była geneza „Polski w pieśni“, której ostatniemi i najwspanialszem ogniwem jest poemat o Janie III-im pod Wiedniem, znany z dłuższych ustępów czytelnikom „Bluszczu.“

Zagłębienie się w nieprzebrane skarby mitologii słowiańskiej, w opisy pierwotnej polskiej przyrody, w tragiczne dzieje pierwszych książąt lechickich podsunęło poetce wspinającą myśl zobrazowania całej przeszłości dziejowej polskiej w jednym szeregu poematów, to dramatycznych, to epicznych, i połączenia ich w jedną ogromną całość, w jeden gmach olbrzymi, na którego frontonie przedstawił jej się świetlanymi głoskami skreślony napis: „Polska w Pieśni.“

Myśl ta tak ją zajęła i pochłonięła, że nie porzucając rozpoczętej pracy nad „Piastem“,

zaczęła jednocześnie pisać „Sobieskiego pod Wiedniem.“

Już jednak na początku pracy nad temi rapsodami poetka spostrzegła, że koniecznym jest dla niej naoczne zapoznanie się z tą areną, na której występowała jej bohaterowie. W towarzystwie przeto rodziców rozpoczęła w r. 1856-ym pielgrzymkę swą od Gniezna i Kruszwicy, z kąd także zajrzała do Poznania.

W roku 1857-ym była z ojcem na Rugii, w tem najdawniejszym ognisku wierzeń i podań słowiańskich, a następnego roku zwiedziła Ojców, Sandomierskie, a głównie góry Świętokrzyskie; wreszcie w r. 1860-ym wszedł i wzdłuż przemierzyła Tatry.

Gdy jednak po powrocie do domu przejrzała oba swoje poematy, z których „Piast“ liczył już 12,000, a „Sobieski“ 6,000 wierszy, — to pierwszy wydał jej się zbyt rozwlekłym, a drugi nazbyt pompatycznym, nie ogłosiła ich przeto drukiem, ale z rezygnacją spokojną złożyła je obok „Jadwigi“ w szafie, która według słów poetki zmieniła się powoli w mauzoleum jej rękopisów.

Pierwsze jednak niepowodzenie nie zraziło jej bynajmniej, ale przeciwnie, pobudziło do tem usilniejszej pracy, której rezultatem były cztery piękne poematy: „Lech“, „Wojna Olbrzymów“, „Wyszmir“ i „Dwunastu Wojewodów.“

W trzech ostatnich poematach talent poetki zajaśniał w całym swoim blasku.

Krytyka przyjęła je z entuzjazmem i nazwała Deotymę mistrzynią i żyjącą Sagą poetyckich dziejów ojczystych, rodacy zaś, przebywający za granicą, uczcili ją cennym upominkiem w postaci precudnej bransoletki, wykonanej u jednego z mistrzów kunsztu jubilerskiego, Patka w Genewie, podług rysunku generałowej Kickiej.

Upominek ten do tego stopnia rozrzewnił Deotymę, że w r. 1860-ym udała się w towarzystwie rodziców z podzięką do Paryża, gdzie z powodu owacyjnego przyjęcia wygłosiła kilka przepysznych improwizacji.

Powróciwszy po niedługim pobycie w Paryżu do Warszawy, znowu zabrała się do przerwanej pracy i przedsięwzięła wielką trylogię z dziejów bajecznych, na którą złożyć się miały: Krakus, synowie Krakusa i Wanda, pisane w formie dramatycznej, na sposób Szekspirowski, prozą, która w chwilach żywszego ruchu stawała się białym wierszem, a przy najwyższych uniesieniach przystrajała się w rymy!

Prócz tego w tymże samym czasie pisała wiele rzeczy krótszych, lirycznych, które, zebrane w jedną całość, miały wyjść w osobnym tomie pod tytułem „Moja lira.“

W r. 1862-im poetka udała się w podróż do Włoch, towarzysząc podupadłej na zdrowiu matce.

Zatrzymawszy się w Wiedniu, poetka poznała tam jednego z wielbicieli swego talentu, niemieckiego poetę hr. Enzenberga, który przełożył na swój język ojczysty jej improwizację o Tańcu.

Na prośbę poety, Deotyma zaimprovizowała przesłiczny wiersz p. t. „Okolice nad Dunajem.“ Przekład tej improwizacji, dokonany przez hrabiego, ukazał się 10-go września r. 1862-go w „Wiener Tagesbericht“,

We Włoszech Deotyma zwiedziła tylko Wenecję, Medyolan, Genuę, Florencję — ale podziwiała tam jedynie arcydzieła geniuszu ludzkiego; obca zaś przyroda tego kraju i jego mieszkańcy nie umieli zdobyć sobie serca poetki.

Następnie udała się wraz z ojcem w powyższej wspomnianą podróż do wschodnich gubernii Cesarstwa, w ciągu której poznała kolejno Jadryn, Symbirsk, Penzę i Czembar; wspomnienia z tej podróży niejednokrotnie spotykamy w późniejszych jej utworach.

W tym czasie poetka wykończyła swoją „Wandę“, która stanowi jedną z cenniejszych pereł historycznej poezji polskiej.

Po powrocie do Warszawy Deotyma napisała tysięczwierszowy poemacik z życia Stanisława Lubomirskiego, który odczytała następnie d. 28-go grudnia r. 1865-go w Teatryku Dobroczyńności, odpowiednio udekorowanym. Był to pierwszy występ Deotymy, uwieczony jak najświetniejszym powodzeniem.

Przy końcu r. 1866-go roku powstał nowy poemat p. t.: „Gonitwy w dolinie Prądnika.“ Jest to utwór trzymany całkowicie w stylu prostodusznej, błyskotliwej, pełnej werwy baśni.

Następnego roku spotkał poetkę straszliwy cios: nieubłagana śmierć zabrała jej nad życie ukochanego ojca, i już na zawsze kirem melancholijnej, zrezygnowanej tęsknoty pokryła jej czystą, szlachetną duszę. Niespełna w dwa lata później za ojcem podążyła i matka — i według słów poetki, „zgasły ostatnie światła jej przeszłości.“

W sierocem osamotnieniu swoim Deotyma znalazła pociechę w szczerej i trwałej przyjaźni, jaka ją połączyła na zawsze z panią Eugenią Wolffową.

Przeniósłszy się w r. 1871-ym do domu pp. Wolffów, do dnia dzisiejszego zajmuje w nim kilka pokojów z widokiem na ogród Saski.

Tam to odbywają się owe słynne zebrania czwartkowe, gromadzące w gościnnych salonach Deotymy cały kwiat naszej inteligencji.

Tam wyszedł z pod pióra autorki cały szereg przepięknych utworów, tak lirycznych, jak i epicznych; tam urodziła się wspaniała jej powieść „Branki w jasyrze“, oraz olbrzymi epos „Jan III-ci pod Wiedniem.“

Z poezji lirycznych, napisanych przez Deotymę po śmierci rodziców, na szczególniejszą uwagę zasługują: „Noc Świętojańska“, „Ty pójdziesz górą, a ja doliną“, „Objawienie się Muzy“, „Pieśń na dwa głosy“, „Wyznanie“, „Oczekiwanie“, „Pożegnanie“, „Biała róża“, „Oda do Miłości“, „Powrót gołębia“ i t. p.

W utworach tych poetka po raz pierwszy dotknęła struny miłosnej, której przez dłuższy czas unikała przez niezwykłą skromność.

W tym czasie powstały również poezje, osnute na innej kanwie, jak: „Sen“, „Pieśń błękitna“, „Królestwo Idealu“ i „Symfonia życia.“

Następnie poetka jeszcze raz przejrzała i wykończyła ostatecznie swoją „Wandę.“

Wrażenie, jakie wywarło na słuchaczach odczytanie tego poematu, nie da się opisać.

Zachwyceni wielbiciele talentu i twórczości poetki urządzili jej wspaniałą owację i ofia-

rowali przepyszne album, srebrny świecznik oraz posążek Wandy, dłuta Syrewicza.

W r. 1872-im napisała Deotyma wierszem pięcioaktowy dramat p. t. „Naręczona z Ogrodzieńca“, w roku następnym z powodu czterowiekowej rocznicy urodzin Kopernika „Słoneczną kantatę“, a następnie „Rapsody o Chrobrym królu.“

W końcu r. 1875-ym powstała scena dramatyczna p. t. „Biesiada u Ziemomysła“, nacechowana wysoce artystyczną prostotą.

Od poematu przerzuciła się poetka do powieści. Pierwszą szczęśliwą jej próbą w tym rodzaju była „Zwierciadłana zagadka“, a po niej przyszło na świat arcydzieło: „Branki w jasyrze.“

Wincenty Korotyński, podziwiając w tej powieści „niebotyczną wyobraźnię, głęboką znajomość serca i krystaliczną wiedzę swego czasu“, w końcu oceny swojej stawia wniosek, że „nowa książka Deotymy, w wydaniu jak najmniej kosztownem, może stać się powieścią najpopularniejszą (proszę zważyć, że było to jeszcze przed pojawieniem się „Trylogii“ Sienkiewicza) ze wszystkich współczesnych płodów piśmiennictwa.“

Po „Brankach w jasyrze“ kolejno powstały: poemat p. t. „Na Jasnej Górze“, kilka utworów lirycznych, kilka powiastek, z których wyróżnia się szczególniejszemi „Panienka z okienka“ — i wreszcie wspaniałe pieśni bohaterkiej epepej p. t. „Jan III-ci pod Wiedniem.“

Pierwszy tom tego poematu krytyka przyjęła entuzjastycznie; nawet Stanisław Tarnowski, ten znakomity, lecz często taki surowy krytyk, złożył poetce należny jej hołd i wyraz wysokiego uznania.

Nie więc dziwnego, że społeczeństwo, pragnąc się wywdzięczyć poetce za jej hojne dary, skorzystało z pierwszej nadarzonej okazji, i pod pretekstem 45-ej rocznicy jej działalności literackiej, uczciło ją wspaniałym obchodem jubileuszowym.

Opis tego obchodu znajdujemy w pamiętkowym wydaniu zasłużonego pisarza Adama Pługa, z której to książki czerpaliliśmy obfity materiał do niniejszego szkicu.

W czasie tej uroczystości złożono u stóp poetki liczne i wspaniałe upominki i na cześć jej wybito medal z jej podobizną; jedna zaś z sędziwych poetek naszych, Seweryna Duchńska, uczciła Jubilatkę przesliczną kantatą, której ostatnia strofa tak brzmiała:

„Wieszczko natchniona tys chwałą naszą,
Nie dość nam bluszcze na gody pleść!...
Bratnie cię serca wieńcem opaszą,
O Deotymo!... cześć Tobie, cześć!...“

Temi słowami i my zamykamy nasz pobieżny szkic, powtarzając raz jeszcze w imieniu wielu:

„Cześć Tobie... cześć!...“

Leon Rygier.

Julia Terpiłowska.

PRYZYSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

Z pogodnym uśmiechem patrzyła wnukowi w rozpromienione oczy, a wnuk wycelowwał jej ręce i powtarzał gorąco:

— Jakaś ty dobra, babciu! jakaś ty dobra!...

— To Bóg jest dobry, dziecko moje. Czy pamiętasz, com ci mówiła, kiedyś mi się zwierzył ze swoich powątpiewań o charakterze Mewy?

— Pamiętam, babciu. Mówiłaś, że nieraz widzi się przed sobą dwie tylko drogi do wyboru, a obie cierniste. A wtem Bóg bierze za rękę — i jakaś trzecią ścieżką wyprowadza na otwarte pole. I tak się właśnie stało!

— I tak się stało, wbrew przewidywaniom rozumu ludzkiego. Zapamiętajże sobie na zawsze, jak człowiek jest niedaleko widzący, a Pan Bóg miłosierny!

— Nie zapominam o tem nigdy, babciu droga... A więc jutro! jutro...

— Czekaj-no, czekaj! co jutro? Jaka ta młodość niecierpliwa! Jutro będziesz trzymać jedwab, który ona będzie zwijać, nic więcej.

— To już bardzo wiele! I powiem jej przecież...

— Obejdzie się! Ja sama jej powiem, co potrzeba, a ty będziesz jej rozповідаł, co zechcesz, dopiero jak matka pobłogosławi.

Jakby szara chmurka przepłynęła przez to jasne niebo. Zygmunt posmutniał, babka zamysliła się, a po chwili rzekła:

— Z matką będzie troszkę trudno; ale postaramy się oboje z dziadkiem, aby się ublażyć dała, — a Pan Bóg znów dopomoże, i wszystko będzie dobrze. No, chodźmy do dziadka, niech i on się ucieszy!

Nazajutrz po nieudanej tenisowej zabawie, Mewa zeszła na ranną kawę mizerna, jakby po bezsennej nocy, ale była tak ożywiona, że pani Wszelaczyńska nie wiedziała, co myśleć.

— Pogodziła się z naręczonym, czy nadrabia miną? — zapytywała siebie w duchu, i postanowiwszy bądź co bądź wyjaśnić stan rzeczy, rzekła:

— Pan Zygmunt bardzo się ucieszy, że twój ból głowy szczęśliwie przeminął, kochanie. Wczoraj był widocznie zaniepokojony, a pani Mimi obawiała się influency.

— Doprawdy? — rzuciła niedbale Mewa.

— Naturalnie, że przyjadą dowiedzieć się o twoje zdrowie; ale byłoby bardzo miłutko z twojej strony, gdybyś ich uprzedziła.

— Jakto?

— Ponieważ mamy jechać na spacer, moglibyśmy skierować naszą ekskursję ku Nabrzeżanom.

— Wyobrażam sobie, jak byliby zdziwieni! Oczy pani Wszelaczyńskiej zabłyśły ciekawością: zbliżała się chwila wyjaśnień.

— Dlaczego byliby zdziwieni? — zapytała skwapliwie.

— Dlatego, że nie przyzwyczaiłam ich do zbytnej uprzejmości.

Oczy pani Wszelaczyńskiej przygasły.

— Pozwól sobie powiedzieć, kochanie — rzekła z macierzyńską powagą, że w takim stosunku uprzejmość jest poniekąd obowiązkiem.

— Ja wcale nie mam talentu do spełniania obowiązków!

— Nie mów tak, duszo droga, bo mogłaś tem zrazić narzeczonego.

— To już fakt spełniony, hrabino kochana, — rzekła swobodnie Mewa, pokazując białe ząbki.

— Jakto? jakto? cóż było? — badała niecierpliwie hrabina.

— Właściwie nie było nic nowego — odparła, śmiejąc się, Mewa, — bo nigdy nie wysilałam się, aby mu dogadzać; ale wczoraj przeszłam samą siebie.

Mewa była zdecydowaną powiedzieć pani Wszelaczyńskiej o swoim zerwaniu z Zygmuntem, aby jej własna wersja poszła między ludzi pierwej, nim się inne wytworzą. Chciała jednak potrzymać trochę w zawieszaniu ciekawość kochanej hrabiny i dopiero, gdy ją rozpalila do czerwoności, oparła się wygodnie w fotelu z filizanczką w ręku i gryząc ciastko, opowiadała tonem żartobliwym:

— Wczoraj uczułam się znudzona banalnością życia, zapragnęłam silniejszych wrażeń i urządziłam sobie amatorskie przedstawienie na temat Szekspirowski: Fryd Grüber grał rolę Jagona, Zygmunt naturalnie Otella, a ja Desdemonę.

— Ja tych allegoryi nie zupełnie rozumiem, kochanie.

— Więc bez allegoryi: Wczoraj Zygmunt był nudniejszy, niż kiedykolwiek, tak mi dawał na nerwy swoją milczącą powagą, że chcąc go troszkę poirytować, poszłam na spacer *en tête-à-tête* z panem Kalinieckim. Jest to Paryżanin, który dla oryginalności bawi się w chłopomanie, a Fryd go posądza o skryte afekta dla mnie. Otóż Fryd, nie mogąc sam zrobić mi sceny zazdrości, nabuntował mego pana narzeczonego i przyprowadził go do marmurowego basenu, gdzieśmy karmili łabędzie. No, i tam Zygmunt dał do zrozumienia w niezbyt delikatny sposób Kalinieckiemu, że sam dla siebie chce zachować monopol spacerów ze swoją narzeczoną. Wtedy Kaliniecki wyemigrował, a ja wpadłam w zły humor i dostałam migreny. Bo doprawdy, czyż to nie rewoltujące, taki absolutyzm jeszcze przed ślubem?

— Zapewne, zapewne; ale cóż dalej?

— Wieczorem, kiedy Zygmunt przyszedł mię przeproszać, wpadłam na niego z góry, powiedziałam mu parę rzeczy dosyć ostrych, posprzeczaaliśmy się na dobre — i ostatecznie zwróciliśmy sobie pierścionki.

— Nie może być! — wykrzyknęła pani Wszelaczyńska, uznając za stosowne okazać niezmiernie zdziwienie.

— Dlaczego? — odpowiedziała spokojnie Mewa. — Takie wypadki wcale do nadzwyczajnych nie należą.

— Zawsze jednak są bardzo przykre, i służą za aliment dla złośliwości ludzkiej.

— Zdaje się, że złośliwość ludzka nie bardzo się pożywi tak zwyczajnym alimentem.

— Ale możeby to się jaszce dało jakoś naprawić, duszo droga?

— O! nie, kochana hrabino, nie znoszę naprawianych stosunków, tak, jak cerowanych pończoch!

Hrabina zmarszczyła nieznacznie tłusty nossek i pomyślała:

— Ta dziewczyna na wszystko sobie pozwala — nie tylko w postępach, ale nawet w wyrażeniach...

A potem wyciągnęła rękę do Mewy i rzekła czule:

— Wierz mi, kochanie, że całym sercem odczuwam...

— Co odczuwasz, kochana hrabino? — przerwała, śmiejąc się Mewa, — chyba smak mojej kawy, bo ja w tej chwili nic innego nie czuję.

— Nie może być jednak, aby podobne przejście nie zrobiło wrażenia.

— Chyba tylko wrażenia ulgi. Zygmunt nie zapowiadał wygodnego małżonka, a jako narzeczony, był nudny, jak ślota. To też na drugi raz urządzę się inaczej, i wybiorę sobie zabawniejszego narzeczonego.

— Życzę ci z duszy, kochanie, abyś miała w czym wybierać; ale obawiam się, aby twój sposób traktowania spraw tego rodzaju nie okazał się odstrasającym.

— Nie wszyscy są tak płochliwi, jak kochana hrabina!

Mewa żartowała i śmiała się przez cały ciąg tej rozmowy, ale na twarz jej wystąpiły gorące wypieki.

Nita i Mita, na znak matki usunawszy się na bok, łowiły z daleka każde słowo chciwem uszkiem, spoglądając na siebie naiwnie-przeżartkami oczkami. Były to dobre dziewczynki, niezmiernie ciekawe wszystkiego, co dotyczyło miłości i małżeństwa, a pełne podziwu, graniczącego z uwielbieniem dla Mewy, którą naśladowałyby chętnie, choć niezdarnie — gdyby nie mama.

Jakiś instynkt im szepnął, że Mewa pozornie tylko bierze rzecz tak lekko i wesoło i jednomyślnie awansowały ją na tragiczną bohaterkę, która ból uśmiechem pokrywa. W skutek tego przez cały dzień chodziły przy niej na paluszkach, mówiły do niej zcicha, jak do osoby chorej, i przy każdej sposobności obsypywały ją najtkliwszymi pieścizkami. Mewę drażniło to bardziej jeszcze, niż skryta złośliwość ich matki, i odetchnęła z głębi piersi, kiedy po obiedzie panie te odjechały na wieczorny pociąg.

Następnego dnia przed zachodem słońca Mewa wyszła w koniec parku i usiadła w gąszczu leszczyny na brzozonej kłodzie, z kądem widać było o jakie sto kroków ścieżkę idącą pod laskiem z Zielonej Zagrody do Dziecina. Jur przechodził tamtędy nieraz o tej dnia porze i Mewa czasem się tam z nim przypadkiem spotykała. I tym razem nie zawiódł jej spodziewany przypadek; po niedługim oczekiwaniu spostrzegła zdaleka szarą bluzę — i wnet zaczęła sygnalizować chusteczkę. Jur przyszedł natychmiast, na powitanie pocałował jej rączkę, a ona mu i drugą podsunęła — i wska-

zała miejsce tuż obok siebie, na kłodzie zielonym pluszem mechu okrytej.

Siadł, dziękując jej z uśmiechem za gościnność, a w myśli robił sobie uwagę, jak dziwnym jest ich stosunek. Nie byli przecież kochankami, — a jednak łączyło ich coś więcej, niż flirt, coś innego, niż przyjaźń. Nie miłość wszakże, bo tej i w sobie nie czuł i u niej nie przypuszczał. Był to jakiś rodzaj wzajemnej sympatii, budzącej w nim chwilowe podniecenia, w niej — chwilowe egzaltacje, zaś pozawczorajsze przejście zadzierzgnęło jeszcze jakby niteczkę cieniutką barwy nieokreślonej, ale mającej wszelkie pozory tego, czego właściwie między nimi nie było.

— Co zaszło pozawczoraj między panem a Zygmuntem? — zapytała trochę niespokojnie Mewa.

— Nic strasznego, niech się pani nie denerwuje, — odrzekł z uśmiechem.

— Przecież nie wyprowadziłeś go pan na rozmowę dlatego, aby mu zakomunikować, że jest piękna pogoda? Cóżes mu pan powiedzieć?

— Zapewniłem go, że: „między nami nic nie było...” — zaspiewał na znaną nutę.

— I uwierzył panu?

— Nie dałem mu dotąd powodu do wątpliwości o moim słowie.

— A jednak nie uwierzył!

— Zkąd pani to wnosi?

— Ztąd, że mi wyrzucił — zdradę.

— Hm... to dosyć zrozumiałe.

— Nie dla mnie: proszę się wytłómaczyć jaśniej.

— Zygmunt jest człowiekiem, trzymającym się niezłożonych pojęć. Wszelkie komplikacje fenomenów psychicznych są według niego niepotrzebnym balastem, obciążającym zdrowy sąd o rzeczach. On bierze każdy fakt w jego najprostszej formie — i wyrokuje o nim przez tak lub nie. I miłość też uważa za uczucie jednolite a wyłączone, z tego zaś punktu widzenia flirt, lub nawet pewien rodzaj przyjaźni jest poprostu — zdradą.

— Pan naturalnie tych niezłożonych pojęć co do miłości nie podziela?

— Względem cudzych narzeczonych — nie, — odrzekł z uśmiechem.

— A względem swojej?... Ciekawam, co by pan zrobił na miejscu Zygmunta?

— To zależy od miejsca: gdyby rzecz się działa w jakim kiosku niedaleko basenu, wrzuciłbym ją w wodę, a gdyby na piętrze, wyrzuciłbym ją przez okno.

— Za co?

— Za to samo, za co ten drugi całowałby ją po rękach. To tylko dowodzi raz jeszcze, do jakiego stopnia nasze sądy są subiektywne.

— Więc pan swojej narzeczonej nie pozwalałby ani bawić się jakim Frydem, ani przyjaźnić się z jakim Jurem?

— Właściwie, nie chciałbym prowadzić edukacji mojej narzeczonej. Kochałbym ją jaką jest, albo nie kochał wcale.

— A czy to ostatnie zależałoby od pana?

— Nie wiem. W tych rzeczach teoria rzadko się sprawdza w praktyce.

Milczeli przez chwilę, potem Mewa rzekła nagle:

— Pan wie, że małżeństwo moje zerwane?

(Ciąg dalszy nastąpi).

ODTRĄCONEJ.



I.

Dziś ujrzałem cię znowu po długiej rozłące
W tem miejscu, gdzie — pamiętasz? — błędzieliśmy
[razem,
Gdzie złotych chwil spi tyle pod przeszłości gła-
[zem,
Gdzie oczy twe płomienne lśniły mi, jak słońce.

I uculem, że znowu kocham cię nieklamnie,
Na widok twojej twarzy beznadziejnie bladej,
Gdzie milczące cierpienie wyrzyło swe ślady
Niewidoczne dla innych, lecz widoczne dla mnie.

I uculem, jak niegdy, znów chęć nieprzepartą
Mieć duszę, ach! dla ciebie jedynie otwartą,
I uculem, jak serce pęka mi na ćwierci —

Cień twój zwolna w mgieł nocnych znikał za-
[wierusze —
Z oddali szedł i moją obejmował duszę
Lodowatym uściskiem chłodny powiew śmierci.

II.

Dlaczego-m cię porzucił? Jakim snem omamion,
W beznadziejnie nużącej wędrówce żywota,
Odepchnąłem bluszczowe sploty twoich ramion
I poszedłem, gdzie ból mię czekał i tęsknota?

Odrąciłem cię dumnie, bez słowa — bez słowa,
I zaparłem do krain swego szczęścia wrota,
I tam wleciałem duchem, gdzie wicher się sza-
[mota,
Gdzie grzmi złowrogich gromów płomienna roz-
[mowa.

Zdusiłem w sobie uczucie, myśl, każde pragnie-
[nie,
Co mi rwało na strzepy serce, męką krwawą —
I nakazałem ustom i sercu milczenie,

A dziś duchem w dalekie wybiegam przestrzenie
I chciałbym cofnąć w przeszłość losów moich
[nawę
I wzniecić w piersi znowu dawnych uczuć lawę,

III.

Jeśli cię rzucił, ach! to nie dlatego,
Aby samemu iść przez szczęścia niwy;
Oto-m się fali powierzył zgiełkliwej,
Co łódź mą do snu powiedzie wiecznego.

Gdy w pustce życia będziesz trwać w zadumie
O śnie przeszłości wiekuiście żywej,
Pomyśl, jak bardzo byłem nieszczęśliwy
W tym obojętnym i niehumanym tłumie!...

Rzuciłem ciebie — tak, rzuciłem ciebie
Wówczas, gdy smutek zadławił mi gardło,
Gdy we mnie uczucie ostatnie zamarło;

Wiem, że upadnę w życia zawierusze
I że mnie odmet otchłanny pogrzebie,
Więc: niech sam ginę, skoro ginąć muszę!...

IV.

Obłądnych pragnień uniosła mnie fala
W świat, kędy serce szarpia niepokoję,

I oto smutny, a bezradny stoję,
Patrząc, jak szczęścia brzeg się wciąż oddala.

Brudny dech życia duszę moją kala,
Zabija wszystkie wyższe wzloty moje,
I nąd zatrute prowadzi mnie zdroje,
I błędne ognie we mgłach mi rozpala.

A ja — w przeszłości zasluchany echu —
Żyję tem życiem szarem, bez uśmiechu,
Krocząc ku śmierci, co gdzieś czyha zdala.

I tak codziennie — pomimo mej woli —
W odmet zapadam smutku i niedoli,
Dokąd snów błędnych uniosła mnie fala.

V.

Wiem — już niedługo sny czarne porzucę,
W pustkę wieczności idąc bezkresową,
Lecz nie chcę w przeszłość powracać na nowo —
Chociaż mi smutno, że już tam nie wrócę.

Kiedy życiowa skończy się pokuta
Dusza, ziemskiego próżna już pragnienia,
Na jasnych skrzydłach cichego marzenia,
Popłynie w bezmiar, mgłą smętku osnuta.

Nie wiem, czy w górze — za ziemską doliną —
Wszystkie żywota lzy i troski giną
Gdzieś w oceanie głuchym niepamięci,

Lecz zdaje mi się, że trwa z dawną siłą
Tu — przed mogiłą — i tam, za mogiłą
Wszystko, co w życiu duszę ludzką smęci.

Tadeusz Kończyc.



POGADANKI PEDAGOGICZNE
Narcyzy Żmichowskiej,
w opracowaniu
Wandy Żeleńskiej.



VIII.

Konieczność uporządkowania swoich wiadomości, religij-
nych przekonań i moralnych sądów. — Większość kobiet
nie jest zdolną do tej logiki sumienia. — Jedną z nauk
trzeba wybrać za punkt wyjścia.

Mówiąc o *metodzie*, wspomniałam o tej,
która, według mego zdania, lepsze od innych
może dać wyniki, sumą dostępnej dla nas
prawdy. Według tej metody, przechodzi się
od ogółu do szczegółów, z szczegółów tworzy
się całość; o ile okazałaby się niedokładną
lub umysłowi i wewnętrznej naszej prawdzie
nieodpowiednią, o tyle znów do szczegółów
się zstępuje, uważając je za dowody, z któ-
rych następnie nowa całość się wytwarza.
Wszystkie, jak tu jesteście zebrane, nie może-
cie Panie już planu waszych nauk cofnąć do
ogólnych konturów. Trzeba nam się zastano-
wić, z jakiego punktu możnaby dzisiaj nowy
ład w zbierane wiadomości wprowadzić i ową
metodę rozkładową i składową (analityczną
i syntetyczną, jak mówią uczeni) rozwinąć.
Otóż ponieważ się Paniom przyznałam, że
sama z sobą byłam w podobnym kłopotcie,

zatem z własnego doświadczenia wyciągniętą
wam radę przynoszę.

W tem położeniu naukowem, w jakim
każda z was i w jakim się mnóstwo ko-
biet znajduje, brak jest tylko ogólnego po-
rządku, zarysowanego przy początku konturu.
Szczegółów ma każda z was pod pewną miarą,
jedna mniej, druga więcej; idzie o to, żeby
te szczegóły zestawić w szereg równoległy do
religijnych i moralnych przekonań, czyli ztąd
wynika, że pierwej jeszcze trzeba zdać sobie
sprawę ze swoich *religijnych przekonań i z mo-
ralnych sądów*. Gdyby każda z nas przeszła
podobny rachunek sumienia i powiedziała so-
bie stanowczo: w co wierzy, w co nie wierzy,
co uznaje za dobre, a co za złe, wnet spo-
strzedzby musiała mnóstwo niedostatków,
przerw, w owym łańcuchu przekonań i sądów,
sprzeczności jednych z drugimi. Lecz do po-
dobnej pracy trzeba samodzielniejszych zdol-
ności, niż je dziś kobieta mieć może.

Dla wyższych zdolności rady nie daję, bo te
jako wyjątkowe, ich nie potrzebują. Bierze-
my na uwagę średnią miarę, według tego, co
nam się widzieć najczęściej zdarzało. Przy-
puszczam, że mało która kobieta wielką i ści-
słą krytykę porównawczą między swemi mo-
ralnemi pojęciami zaprowadzić może. Zdarza
się im najczęściej, że stawiają *niższe* przy
wyższem, *nadobłoczne* przy *podziemnem*, nie
domyślając się nawet, że pojęciom tym har-
monii, a więc prawdy brakuje.

Tysiące sprzeczności w jednej głowie się
mieścić może i widzimy np. często bohaterski
stoicyzm obok miękkiej litości i współczucia;
uwielbienie dla sławnych zdobywców, obok
rewolucyjnych popędów ku wolności. Cezar
stanie obok walczącej zwycięzko Grecji z Per-
sami; Napoleon przy głosie ludów, domagają-
cych się praw swoich i wolności. Dowcip
szyderski pomieści się obok szczeroci, szcze-
rość obok buntowniczego łamania form to-
warzyskiej oglady. Takich niekonsekwencji
możnaby krociami wyliczyć, zacząwszy od
katechizmowych dogmatów, przechodząc do
towarzyskich sądów i wymagań duchowych;
gdy równoległe ustawimy szereg wiadomości,
przekonamy się dowodnie, ile nam brakuje
do równowagi, ile nam trzeba zdobywać i na-
bywać, żeby nauka moralną stronę podparła,
a moralna strona żeby podparła naukę.

Taką to pracę w umyśle odbytą, nazywam
zaczęciem od końca, stworzeniem sobie całości.
Ale pewien punkt wyjścia obrać sobie trzeba!
W tej pracy chciałabym Paniom pomoc moją
ofiarować, próbując do współpracy z wami uło-
żyć wskazówki z różnych już wam znanych
lub mniej dostępnych szczegółów naukowych.

Przedewszystkiem trzeba więc jedną z nauk
za punkt wyjścia obrać. Ale którą? Zasta-
nawiałam się nad tem długo. Nauki przy-
rodnicze i ścisłe, przedstawiają tę dogodność,
że są *najpewniejsze*, złożone z samych dowie-
dzionych faktów, są one naukami szczegółów,
i dopiero w sumie swojej albo fizycznej, albo
moralnej, do całości pewnej przychodzą.

Wypadałoby zacząć od filozofii, bo ona
mówi o naturze człowieka i o Bogu, ona
przedstawia całość ostateczną, zbiór tego
wszystkiego, co wiemy o naturze, o człowieku
i o Bogu, zestawiony w jednej kombinacji
przeprowadzonej przez to wszystko prawdy.

Filozofowie często bywają lekceważeni lub pozostają pod klątwą, że im się zdarza fałszywie i dowolnie zestawiać szczegóły, naciągając je do jednej prawdy. Więc też albo w człowieku, albo w naturze coś chybia, albo też Boga nie dowidzą, co jest ich grzechem, ale nie filozofii, będącej nauką prawdy, nauką całości; przytem trzeba do niej wielkiego przygotowania; uważana bywa za niewłaściwą dla kobiet!

Nie chcąc tak poważnym straszyc tytułem, postanowiłam za ów punkt wyjścia, mniej metodycznie może, ale za to praktyczniej, wziąć historię. Każda z nas, jak tu jesteśmy, jest mniej więcej z nią obznajmiona, każda uczyła się czegośkolwiek, zna ją przynajmniej częstkami, kawałkami, łatwiej więc naukę tę pojmuję i rozumie. Świat, opinia towarzyska nie zaprzeczają kobietom nauki historii, jest to port wolny, do którego możemy pełnemi żaglami zawijać. Z niego na otwarte morze wypłyniemy, a zobaczycie Panie, jak wkrótce przyjdzie nam i po innogatunkowe nabytki wiedzy ludzkiej rękę wyciągnąć, jak zapotrzebujemy i nauk przyrodniczych, i filozofii zarazem, bo wszystko jest we wszystkim.

Czemże jest historia? Na to pytanie liczne napotkać można odpowiedzi. Jedni mówią, że historia jest opisaniem dziejów ludzkości, od pierwszego dnia jej istnienia, aż po dziś dzień. Drudzy uważają, że historia jest niejako widowym postępem, rozwojem ludzkości w czasie, objawionem raz na zawsze lub objawiającem się prawem Bożem. Określę więc historii wiele słyszemy, możnaby tu zrobić ogólną uwagę, że w określeniach tych mieszają ludzie historię, jako naukę, jako książkę, z historią objawiającą się, jako życie organiczne w ludzkości, łączącą pokolenia i wieki najdalsze, z temi, które dopiero nastaną.

Historia w księgach według naukowej metody jest albo *etnograficzną*, albo *synchronistyczną*, albo *perystatyczną*.

1) *Etnograficzna* opisuje dzieje narodu po narodzie, jest kroniką z kronik różnych narodów złożoną.

2) *Synchronistyczna* przedstawia współczesność dziejów wszystkich narodów.

3) *Perystatyczna* rozkłada dzieje na pewne epoki, które przechodzi podług systematu etnograficznego, zaś najważniejsze chwile tych epok synchronistycznie przedstawia. I tak: historia ogólnie dzieli się na starożytną, średniowieczną i nowożytną; każdy z tych działów da się etnograficznie przeprowadzić, w końcu zaś przeprowadzić można obraz synchronistycznie współczesności wszystkich narodów.

Każdy z tych dwóch systemów ma swoje złe i dobre strony. Historia etnograficzna sama przez się nie da nigdy dokładnego pojęcia o całości dziejów; będą to pojedyncze obrazy, bez ogólnej summy. Synchronistyczna podaje wprawdzie całość, lecz nawzajem przedstawia pewien zamęt, zatracając indywidualność narodów, nie wskazuje, z jaką siłą narody w pewnych chwilach występowały, dopomagając do ogólnego postępu. Historia perystatyczna zapełnia braki tych dwóch systemów. Historia jako nauka, rozpada się na trzy metody i troiście bywa przedstawiana: jako krytyczna, pragmatyczna i filozoficzna.

1) *Historia krytyczna* jest, że tak powiem, obojętną; nie idzie jej o wyjaśnienie ostatecznej prawdy, tylko o autentyczność faktów. Przedstawiając to, co jest, przedstawia pewniki, że tak było, a nie inaczej. W tym celu idzie w kronikach za wątkiem prawdy, porównywa fakta jedne z drugimi, wyszukuje świadectw, dowodów, na poparcie swoich twierdzeń. Do niej należy archeologia, numizmatyka, statystyka. Jest to najpożądanyszy sposób przedstawienia historii dla tych, którzy mają już własne przekonania, którzy *całość swoich pojęć* już ułożyli w stałe przekonania,—ale dla innych niedostateczna, bo szczegółami pamięć obarcza, zasypuje, mąci, a każdy szczegół bez wyboru wzięty, zdaje się mieć wielką wagę. Kto niema filozoficznego wykształcenia, z podobnym wykładem nie da sobie rady. Taką historię dał nam Lelewel, Anglik Macaulay; kwitnie też ona we Francyi.

Historia pragmatyczna, dowodzi z góry przedsięwziętego założenia. Taką napisał Bossuet, wykazując, że Bóg światem rządzi; Rotteck, dowodząc, że wolność celem i przeznaczeniem człowieka. Kwitnie ona we Francyi więcej jeszcze od *krytycznej*, z powodu rozbudzonych politycznych namiętności. O Rewolucyi francuskiej, jedni piszą i dowodzą, że była grzechem i obrzydliwością, drudzy twierdzą, że była odrodzeniem ludzkości. Są i tacy, którzy upewniają, że jedynie z Burbonami Francya może być szczęśliwą, a tak zręcznie ustawiają i nieraz nakręcają fakta, że to jest zgorzzeniem prawdziwym dla krytycznych historyków, według których historia powinna stać przed potomnością z całą nagą prawdą do osądzenia. Nie każdy czytający potrafi wynikłości naznaczyć i przewidzieć; dla mniej wprawnych wielce pomocną jest historia pragmatyczna, nie dlatego, by w nieomylną historyka uwierzyć, ale konieczna jako szemat, jako wzór do grupowania faktów. Budząc umysł do samodzielności, nadaje wprawę do kombinacji. Nieraz można napotkać zręczne, sofistyczne dowody, jak np. u De Maistre'a lub u Hobbesa.

Hobbes dowodzi naprzykład, że despotyzm jest potrzebą, koniecznością rozumową. Gdy kto spotka książkę z takim systematem, nie poprzestanie na niej niezawodnie, poszuka innej, zaniepokoi się do gruntu serca, sam w sobie zagłębi się ku rozmyślaniu. Rozbudzenie samodzielności poglądów jest głównym celem pragmatycznej nauki. Jako środek, jest ona użyteczną do poznania, ale dostateczną nie jest.

Jest jeszcze inna historia, nie poprzestająca na badaniu samych faktów, ale śledząca bacznie ich stosunek do *prawdy*, to jest *metoda filozoficzna*. W metodzie tej, fakty uważają się jako wynik, jako wpływ natury ludzkiej, fakty takie zowią się wypadkami. Mając taką naturą ludzką objaśniony wypadek, umysł nasz potrzebuje go osądzić, a sąd wydaje się według zasad prawa Bożego. Wypadki mierzą się złym lub dobrym skutkiem. *Fakt* uważa się jako wpływ, jako objaw ostateczny, jako podpis niejako natury ludzkiej.

Z działania ludzkości wynikają rozmaite zdarzenia historyczne, *wypadki*; wypadek wynika z przyczyny, a przyczyna leży w naturze człowieka. Wypadek jest zły lub dobry, nie-

sie z sobą szczęście lub nieszczęście, udoskonalenie lub zepsucie.

Niejednej z was może i na myśl nie przyszło, jaką to ogromną pracę wkłada na barki historia. Ile rzeczy pod rozwagę wzięść musicie, ile poznać, ile wiedzieć, nad iloma się zastanowić, aby jakkolwiek korzyść odnieść! Korzyścią nie jest bowiem samo pamięciowe poznanie zdarzeń, choćby najliczniejszych, ale ocenienie i zrozumienie choćby też najszczuplejszego ich zasobu, we wszystkich kierunkach, względach, warunkach umysłowych, moralnych, pozwolimy sobie powiedzieć, *filozoficznych*. Można tylko jeden ustęp z historii przestudyować, ale przestudyować go z odniesieniem do prawdy, to już nieraz na całe życie wrażenie silne pozostawi; ten jeden ustęp, porządnie opracowany, może dać miarę i ocenienie wszystkiego, co niegdyś było i co się koło nas dzieje.

Niektórzy biorą jeden fakt pod uwagę, np. *Wojny krzyżowe*. Dlaczego były? Kto je podniósł? Jak były prowadzone? Z jakimi namiętnościami? Jaką cnotę rozbudziły? Przejsz w ten sposób całości dziejów nie można, bo na to nie wystarczyłoby chyba życie ludzkie! Sumienne zbadanie jednej chwili historycznej, rzuca światło na całość, jak mówimy, i uczy nas patrzeć głębiej na dzieje.

Zgodziwszy się na to, że fakt z natury ludzkiej wypływa, musimy zastanowić się nad tem, czym jest natura ludzka? To jest pierwsze zagadnienie, które się do rozwiązania nastrocza. Wskazówką jest tu natura człowieka, składająca się z fizycznych organów i z uzdolnienia duszy. Przystępując zatem do badania historii, trzeba znać naturę człowieka tak fizyczną, jak moralną. Co do pierwszej, znać trzeba fizyologię; trzeba wiedzieć, jak zewnętrzne wpływy na organizm ludzki działają, trzeba znać naukę geografii i nauki przyrodnicze. Klimat, miejscowość, silnie oddziałują na jednostki, lecz jeszcze bardziej na masy zebranych osobistości, nadając zbiorowiskom ludzkim, pod jednemi warunkami klimatycznymi zostającymi, jednakie głównejsze cechy, ztąd podział na rody, plemiona. Niemniej fizyczny organizm wpływa na uzdolnienie, zatem ile różnie miejscowości, tyle rodzajów uzdolnienia, które jest dziedzicznym z pokolenia na pokolenie,—i w tem tkwi pierwszy zawiązek narodowości. Wszak inaczej żyją ludzie w górach, inaczej w lasach, inaczej nad morzem, inaczej wśród dzikich, drapieżnych zwierząt. Fizyczny organizm oddziałuje na uzdolnienie, ztąd rozmaitość uzdolnienia według miejscowości, według dziedzictwa rodowego, ztąd też pochodzi spójnia wewnętrzna narodów. Żeby zrozumieć uzdolnienie ludów i narodów, trzeba mieć pojęcie o duszy człowieka w ogólności, trzeba znać *psychologię*. Trzeba też wiedzieć, jak na duszę działają zewnętrzne wpływy, jak nadają odmienny tok myślom, wyobrażeniom, trzeba znać *antropologię*. Nie lękajcie się Panie tych wyrazów, o każdym z nich wiele wiecie z pewnością, tylkoście sobie rozgatunkować i nazwać nie umiały może. (Badania władz duszy nazywa się psychologią, a wpływ zewnętrzności na duszę, antropologią). Antropologia i psychologia, stanowiąc uzdolnienie narodu, wyraża-

ją się ze strony fizycznej w zwyczajach, mieszkaniem, pokarmem, odzieżą; ze strony moralnej w obyczajach domowych, w stosunkach rodzinnych, w przemagających zatrudnieniach. Prócz tego, objawia się w literaturze, w sztukach pięknych, w ustawach, kodeksach, wynalazkach. Prawem jest tu to, co Bóg przykazał i co zwiemy w naturze koniecznością; to zaś, czego słuchać trzeba, co ludzie ułożyli, co częstym ulega przemianom, jest ustawa. Uzdolnienie wyraża się nie tylko w obyczajach, ale w formach rządu; nauka o nich przechodzi w politykę, która jest żywą historią, czyli historycznym życiem ludzkości.

Uzdolnienie w obyczajach, w literaturze, w prawie, w rządzie, rozwija się według uczuciowej skłonności narodu; ona jest podniętą działaniem i bywa zasadą dla rozwoju ludów. Zasadą tą bywa albo pożyteczność, albo szczęście, albo uznanie dobra i świętości. Ponieważ uzdolnienie się rozwija i ulega przemianom, ztąd zmienia się też i owa zasada działania, jak tego najdobitniej dowodzi właśnie historia. Inną miał pobudkę w działaniu ten lub inny naród niegdyś, a inną ma obecnie, inny szereg wypadków nastaje. Chcąc to poznać i ugrupować w porządku dziejowym, potrzebujemy się uciec do nauki chronologii. Łatwiej zapamiętać zdarzenia ugrupowane podług pewnych moralnych przekonań. Chronologia ułatwia poznanie porządku kolei faktów, a tem samem jaśniej wykazuje stopniowy rozwój ludzkości. Poznawszy zasadę działania, możemy badać o ile wydarzenia pewne zgadzają się z prawem Bożem. Takie sprawdzanie zasad działania ludzkości przez historię, zowie się filozofią historii, czyli *historyozofią*.

Badanie prawa Bożego w ludzkości przez historię; jest to badanie filozoficzne, przedstawiające wiele metod do wyboru, wymieniliśmy je już poprzednio. Są to metody: etnograficzna, synchronistyczna, perystatyczna, krytyczna, pragmatyczna i filozoficzna.

(Ciąg dalszy nastąpi).



LUTA.

SZKIC DO POWIEŚCI.



(Ciąg dalszy).

— „Czyńcie ludziom wszystko, co chcecie, aby wam czyniono, albowiem to jest prawo i prorocy.“

Ewangelia św. Mateusza, VII, 12.

— Patrzcie! święta przyjechała! — powitały ją zmieszane głosy towarzystwa, rozłożonego w wygodnych i malowniczych pozach na miękkiej murawie, zaścieniającej dolinę winnicy w Milanovaču.

Jeżeli Bóg uczynił raj „w pięknym ogrodzie“ położony, to niewątpliwie piękny ten zakątek ziemi był jednym jego odbiciem.

Dwie sąsiadujące winnice stykały się z sobą, jak dwie dłonie ku sobie zwrócone, wyscielone puszystą trawą, tworząc dwie rozkoszne kotliny, mieszczące jeden, wielki ogród owocowy. Po dwóch bokach tego sadu wznosiły się faliste wzgórza winne, pobruzdowane w symetryczne rzędy pnącego się wina.

siły się faliste wzgórza winne, pobruzdowane w symetryczne rzędy pnącego się wina.

Jesień znów się była rozpoczęła.

Pełne, dojrzałe, soczyste grona winne złościły się i rumieniły w blaskach zachodzącego słońca, lub odcinały ciemno-fioletową barwą od pożółkłych już i spieczonych liści.

Zbiory tegoroczne zapowiadały się znakomicie, w przyszłym tygodniu miano już je rozpocząć.

W sadzie jabłka, jak pyzate buzie wiejskich malców, zgrzane i spocone, lśniły się i czerwieniły wśród gałęzi, lub gdzieś tam opadały z ciężkim łoskotem na ziemię.

Późniejsze sztetyny, wyglądały jak upieczone w pośród liści; gruszki zółciły się jasną barwą, nieco odosobnione widniały drzewką moreli, pokryte mszastymi żółto-różowawymi owocami, dalej śliwki, tak gęste, że prawie zakrywały liście, z niestartą jeszcze, sinawą powłoką, gdzie niegdzie wśród krzewów ciemnych krwawiły się jagody dereniu, tam znów orzech włoski rozpościerał swe konary.

Wśród tego mnóstwa drzew i krzewów owocowych błąkały się trzy samotne, zaniedbane okazy: słodki kasztan jadalny, nie dojrzewający tu nigdy, pigwa drobnolistna, jak palma, zakończona u wierzchołka bukietem liści i gałązek i niewielka figa, która nie rodziła owocu, gdyż rosła w niedogodnym, cienistym zakątku.

Sad ten zbiegał z jednej strony na pola wybujałej, wąsatej kukurydzy, a z drugiej strony łączył się z lasem, poprzerznanym wężykowatym strumieniem.

W powietrzu unosiła się woń zżętej gdzieś nieopodal koniczyny, zmieszana z nieokreśloną wonią traw i kwiatów polnych, łąkowych i różnorodnych owoców.

Przyczepiona u boku winnicy była misterna altanka z łoży winnej spleciona. Ze stropu ponad głową zwieszały się dojrzałe i nęcące grona winne, a u wejścia kwitły wysokopienne ponsowe róże, prześlicznie odbijające od otaczającej mieszanej zieleni.

U stóp altanki rozpościerał się klomb różnobarwnych kwiatów, wśród których tytuń wyróżniał się swym odurzającym zapachem.

Prześliczne to było ustronie!

Całe to otoczenie i harmonia dookoła panująca, koili znużonego ducha.

Liczne towarzystwo, które sobie dziś właśnie to miejsce za cel wycieczki obrało, zgromadziło się teraz na polance, racząc się i posilając. Po mięsiwie, krążyły z rąk do rąk owoce, kawa mrożona i inne chłodzące napoje, ciasteczka, a Luta, wraz ze służbą uwijała się wśród nich, podając, częstując, zapraszając.

Dnia tego wyglądała młodziej i świeżej, niż zwykle, twarz miała ożywioną i ruchy zwinniejsze. W jasnej perkalowej, świeżo wyprasowanej sukience, skromnością ubioru nie różniła się od służby, wraz z którą na końcu przybyła, lecz miała wygląd klucznicy lub szafarki wśród swych znajomych i gości.

W tej chwili, gdy stała z wyciągniętą ręką w stronę Tonio, podając mu kieliszek wina, w oczach jej zatliły się iskierki rozradowania i tkliwej czułości.

Tonio leżał na trawie u stóp matki i wsparty na łokciu, mówił coś żywo do niej, ona

zaś pochylała ku niemu twarz i muskała palcami jego bujną czuprynę.

Stanowili razem śliczny obrazek.

Irma jeszcze w pełni sił i wdzięku, zaróżowiona i roześmiana zbliżała swą jasną głowę do ciemnych włosów chłopca; Tonio przypominał ojca, — wyglądali razem bardzo kochający i sobie oddani.

— Zaspiewaj Toniu! spiewaj skowronku! — prosiła, a jemu nie trzeba było tego powtarzać.

Wszystkie uczucia chłopca koncentrowały się i wylewały w spiewie nieuczonym, lecz miłym, dźwięcznym i wprost z serca płynącym.

Więc i teraz Tonio spiewał, a młodzież podchwytywała słowa piosenki i wtórowała mu chórem. Pieśń brzmiała i rozplywała się w ciszy jesiennego popołudnia.

Towarzystwo podzieliło się na grupy, kółeczka, pary sympatyzujące i rozeszło się na spacer po łąkach i polach, do lasku, do sąsiednich winnic i do kapliczki, biejącej na najwyższym szczytce, która jak oko Opatrzne czuwała nad dobrobytem i całością ludzkich siedzib.

Czerwona, bezpromienna tarcza słońca zapadała stopniowo na horyzoncie i tonęła za falistymi wzgórzami winnic.

W ognistym blasku gorzały pnie drzew, zapalały się trawy, zioła, kwiaty, owoce i mieniły w krwawym oświetleniu. Słońce nie ziało już żarem, lecz roztaczało łagodne ciepło, muskając jeszcze w przelocie zboża i ozłacając winne grona.

Raz jeszcze wyjrzało z za pagórka, poczem zniknęło zupełnie, pozostawiając po sobie czerwoną smugę, która zwolna przechodziła w ton złoty, żółty, coraz to bledszy, niksający w jasnym, niezmaconym lazurze.

Drobne, strzępiaste obłoczki zaróżowiły się i rozbiegły po sklepieniu, stanęły nieruchome; po przeciwnej stronie horyzontu powstawały smugi liliowej barwy i rozciągały coraz dłuższe swoje zawoje.

W dolinie Luta została sama.

Siadła pod drzewem, bo nogi uginały się pod nią, a duszę całą zalała fala gorczy i smutku.

Rola jej, jako gospodyni, była skończoną; mogła odpocząć.

Wśród tylu ludzi znajomych jej i życzliwych, nie znalazła się ani jedna osoba, któraaby zechciała dobrowolnie z nią pozostać lub pójść z nią razem. W bezgranicznej obojętności nie zauważono nawet jej braku, — dla niej jednej pary zabrakło.

I nie było jej przez całe życie!

Była jedną z tych cichych pracownic, których użyteczność ze śmiercią uczuć i ocenić się daje, ale które istniejąc, skazane są z góry na wyrok, że tak, jak jest — być musi.

Od najwcześniejszej młodości musiała pielegnować chorą matkę, potem zarabiać na utrzymanie rodziny, gdyż emerytura ojca była niewystarczająca, potem na każdym kroku ustępować Irmie, która o wiele młodsza, ładniejsza, była pieszczochą i ukochaniem matki, gdy ona, Luta, była im pomocą, podporą i zastępować musiała zmarłego ojca.

Potem matkowała Irmie!... Tych czasów rozpamiętywać nie chciała.

A teraz cóż?... Czy była komu potrzebna?

Czuła się śmiertelnie znuzoną i osamotnioną. Nikt nigdy nie pytał jej, co myśli, co czuje, czego pragnie — nie było na to czasu. Dziś radaby już skłonić głowę i odpocząć.

Ale nie, nie!

To wszystko przez niski, brzydki egoizm!

Powinna jeszcze pilnować dziedzictwa Tonii, aby nic z niego uszczkniętem nie zostało.

Jest wprawdzie Irma, ale, ach, jakież to szczęśliwe usposobienie! jaka normalna i zdrowa istota!

Tyle przejść, cierpień, tyle kłopotów moralnych i materyalnych, jakie im sprawiła śmierć Juraniča, wszystko spłynęło jakoś po niej w ciągu lat kilku bez głębszych śladów.

Owszem; poprawiła się nawet i znów wyładniała, i tak, jak dawniej, jada, sypia, śmieje się.

Ot, i dzisiaj w jakim była wysmienitym humorze!

Zaśmiewała się i przekomarzała, przypijając winem do tego Drageča Hijeżeviča.

Wstrętny człowiek — nie lubi go.

Instynktownie czuje jakąś odrazę do niego. Odkąd się do nich wprowadził, jest odrazu, jak u siebie w domu.

Nieszczęsny był pomysł odnajmowania tych pokojów! Ilu to ludzi przewinęło się przez ten czas przez ich mieszkanie zmienione i rozdzielone dla pojedynczych lokatorów.

Dragečowi nie mogła dotąd nic wyraźnie zarzucić, ale wszędzie go pełno i taki jakiś natrętny!

Tonio go także unika.

A Irma zdaje się go wyróżniać. Dziwne! Jego czarne, niespokojne oczy zdają się wwiercać, gdy na nią patrzy. Czuje on, że ma w niej przeciwniczkę.

Ziemia chuchnęła; z łąk i pól dymiły się leciuchne, białe opary, ptactwo porwało się z krzykiem i sznurami ciągnęło na nocleg.

Zmrok zapadał coraz większy, gęstszy, ciemniejszy.

Towarzystwo poczynało się znów skupiać na polanie, z kąd pieszko miało się puścić w powrotną drogę.

Luta powstała także i szła ku nim naprzeciw, bez cienia już żalu poprzedniego, bez śladu męki duchowej, jaką w osamotnieniu przeżyła.

Mijając altankę, przystanąła, by zerwać świeżo rozkwitłą różę, lecz naraz zadygotała i zda się wrosła w ziemię, na której stała.

Pomimo zmroku odróżniła Irmę w objęciach Drageča, który ją okrywał namiętnymi pocałunkami.

— Kto tu? — usłyszała naraz.

— To ja! — usiłowała przemówić, postępując naprzód.

— Zaczekamy jeszcze na wzejście księżyca — przemówił zupełnie swobodnie, przyłaczając się po chwili do reszty towarzystwa.

Niebawem pełnia załaziła całą dolinę srebrzystem, zimnem, lecz rozmarzającym światłem.

Ach! jak cudnie!

Wszyscy stanęli w niemym zachwycie.

Żal im było odchodzić. Cały ogród nabral kształtów czarodziejskich. Drzewa stały, jak fantastyczne, osrebrzone kolumny, liście wyglądały, jak delikatna koronka, murawa przedstawiała lśniący, migotliwy kobierzec, jakby

usiiany tysiącem świętojańskich robaczek, w oddali las znieruchomiał; przez gałęzie padały jasne, srebrne plamy, od konturów i krzewów kładły się długie, czarne, silne cienie, droga białała i w zakrętach zbiegała ku miastu.

Ruszono wreszcie gromadnie, gwarząc i przystając, tylko Luta wyprzedziła ich znacznie i biegła sama z duszą zatrutą bólem na nowo odżyłym i dojmującym, z głową pełną chaosu myśli i zwątpień, ze ściśniętą spazmatycznie krtanią.

Gdzieś z pod serca rwał jej się płacz i darł duszę i wybuchnął falą gorących łez, które niepowstrzymywane po twarzy spływały.

W cichem, osrebrzonym powietrzu zadrgały słowa piosenki spiewanej chórem: „Miłości moja, bądź mi gwiazdą na niebie życia mego!“

Gustawa Toporczanika.

(Dokończenie nastąpi).



WALKA ZE ZBRODNIĄ,

PRZEZ

Alexandra Mogilnickiego.

(Odczyt, wypowiedziany w d. 6-ym kwietnia r. b. w Łodzi).



(Ciąg dalszy).

Zaczęły się podnosić zrazu pojedyncze, a potem coraz liczniejsze głosy, że przestępca to także człowiek, myślący i czujący, jak każdy inny, że nie można się nad nim znęcać bez litości. Spięta kamiennym snem od dwóch tysięcy lat idea miłości bliźniego obudziła się, otrząsnęła z bezczynności i na krwawem tle zabłysła potokami jasnego, ożywczego światła. Nauka o karze, która dotychczas, jak drobna roślina, żyła pod śniegiem, i choć nie zginęła, ale nie mogła się rozwijać swobodnie, teraz pod życiodajnymi promieniami światła geniuszu przebiła zimową powłokę i wysoko strzeliła w niebo*).

I oto zjawił się Cezar, nie groźny wojownik w błyszczącym hełmie i z krwawym mieczem w dłoni, ale skromny uczone włoski, Cezar Beccaria. Jak niegdyś Cezar wstrząsnął zmurszałym gmachem rzeczypospolitej rzymskiej i rozsypał go w gruzy, przygotowując grunt do wspaniałej budowy cesarstwa, tak w roku 1764-ym nowy Cezar z ciszy gabinetu wypuścił w świat wiekopomne dzieło „Dei delitti e delle pene“ (O przestępstwach i karach), i zachwał potężnym dotychczas gmachem prawa karnego, opartym na teorii odstraszenia. Miał odwagę cywilną wystąpić przeciwko odwiecznym zasadom i ta odwaga zyskała mu laur nieśmiertelności.

Beccaria wykazał, że zbytnia surowość kar nie prowadzi do celu, że okrutne egzekucje nie tylko nie przerażają i nie odstręczają od przestępstw, ale przeciwnie, rozbudzają żądzę krwi, rozgrzewają dzikie instynkty i namiętności, przyzwyczajają oczy do widoku cierpień i krwi, robią ludzi nieczułymi na jęki

*) Mogilnicki: «Indywidualizacja kary.» Warszawa, r. 1900, str. 21.

i męczarnie, zatwardzają serca, zwiększają dzikość obyczajów, a co za tem idzie, pomnażają zbrodnie, od których miały odstręczać.

Potężne i technące idea prawdziwego chrześcijaństwa słowa Beccarii znalazły oddźwięk w sercach i umysłach. Montesquieu, Voltaire, a za nimi szereg innych pisarzy, zaczęli powstawać przeciwko teorii odstraszenia, a chociaż znalazła ona tak dzielnych obrońców, jak Feuerbach, musiała jednak runąć.

Na jej gruzach powstaje inna teoria — poprawy. John Howard w Anglii schodzi do lochów, które podówczas były brudnymi, ciemnymi i wilgotnymi norami i poświęca całe życie na przekształcenie więzienia.

Koniec XVIII-go i początek XIX-go stulecia zabłysnęły nową zorzą. Zapleśniałe od tylu wieków pojęcie przestępstwa, jako grzechu z jednej strony, a krzywdy osobistej lub społecznej z drugiej, — zaczyna się przeradzać; prawo karne otrzymuje nowe, odżywcze soki i wypuszcza nowe gałązki.

Od czasu Beccarii datuje się tak zwana szkoła nowo-klasyczna, jako przeciwstawienie staro-klasycznej szkole, opartej wyłącznie na teorii odstraszenia. Całe stulecie przetrwało niepodzielne panowanie tej szkoły. Jak niegdyś cała uwaga kryminalistyki była skierowaną ku odstraszeniu, tak teraz hasłem staje się poprawienie przestępcy. Przekonano się, że okrutne kary nie prowadzą do celu, — zaczęto więc próbować innego sposobu. Setki uczonych rzuciło się do pracy na nowem polu. Powstawały stowarzyszenia, wydano mnóstwo dzieł naukowych. Główną uwagę zwrócono na ulepszenie więzień! Więzienia, które dotychczas były miejscem męczarni, stękiem nieczystości, zepsucia i wszelkich chorób, przekształcają się zwolna na zakłady poprawcze.

Jedno z takich wzorowych więzień Elmira, pod New-Jorkiem, powstające pod kierownictwem Brockway'a, daje zdumiewające rezultaty. Zaledwie mała część (15%) wychowalców Elmiry wraca — na drogę przestępstwa, znaczna większość staje się pożytecznymi obywatelami kraju.

Dawny cel kary — odstraszenie — pozostał jeszcze; nowa szkoła złagodziła go, ale nie odrzuciła zupełnie, kary XIX-go i XX-go wieku nie przerażają widmem stosu lub śmierci głodowej, ale dość jeszcze są okrutne, ażeby wzbudzać obawę, mogącą powstrzymać od zbrodni. Perspektywa gilotyny lub stryczka, ciężkich robót w kopalniach lub zesłania pomiędzy lodowce niezupełnie jeszcze pozwala zapomnieć o dawnej teorii odstraszenia.

Nowo-klasyczna szkoła miała jeden zasadniczy punkt wspólny z dawniejszą, punkt, na którym nie umiała się wyzwolić z więzów nauki średniowiecznej; oto za jedyną przyczynę wszystkich przestępstw uważała złą wolę, złą naturę winowajcy. Każdy przestępca, który nie był zdeklarowanym waryatem (bo to uwzględniała nawet szkoła staro-klasyczna), każdy był człowiekiem złym i należało go, albo poprawić, jeżeli to było możliwem, albo też zgładzić ze świata. O pobudkach, jakie mogły powodować spełnienie zbrodni, nie myślano jeszcze podówczas; jedną jedyną przyczyną przestępstwa była zła wola zbrodniarza; przeciwko niej skierowywano cały system poprawy.

Była to ostatnia pozostałość średniowiecznego poglądu na przestępstwo i karę, lecz i ona musiała runąć pod wszechniszczącym zębem czasu. A na to, ażeby uwolnić świat od tej pozostałości, znowu potrzeba było Cezara. I znowu, znalazł się on we Włoszech. A zwał się Cezar Lombroso.

Będąc profesorem medycyny sądowej, a zarazem lekarzem więziennym w Turynie, Lombroso przez kilkanaście lat badał setki i tysiące przestępców, aż nareszcie w roku 1876-ym, a więc zaledwie 26 lat temu, ogłosił rezultaty swych badań w dziele p. t. „L'uomo delinquente.“ (Człowiek zbrodniarz). Głos turyńskiego lekarza rozległ się głośnym echem po całym świecie i, jak niegdyś głos Beccarii, poruszył wszystkie umysły. Lombroso głosił zasadę, opartą na długoletnich badaniach, że niema zbrodniarzy na świecie, — są tylko chorzy i zwyrodnieni, że każda zbrodnia jest chorobą, że przestępca stanowi specjalny typ zbrodniczy, odrębną istotę, wyróżniającą się od normalnych ludzi nie tylko psychicznymi, lecz i fizycznymi cechami i wskutek tych ostatnich od natury przeznaczoną do zbrodni.

Twierdzenie Lombrosy wywołało burzę wśród kryminalistów i, jak każda nowa idea, znalazło mnóstwo przeciwników i adeptów. Uczni całego świata, zaczęli się spierać o tę zasadę, przeprowadzono szereg badań we wszystkich krajach i ostatecznie ustalono tezę, którą dziś możemy uważać za ostatnie słowo teorii. Najnowsza nauka orzekła, że typu zbrodniczego niema, że nie każdy przestępca jest chorym umysłowo, ale że przyczyną znacznej większości najcięższych zbrodni jest właśnie choroba umysłowa. Dziś nikt prawie nie wierzy, że każdy bez wyjątku przestępca jest człowiekiem nienormalnym, ale wszyscy zgadzają się na to, że nienormalności fizyczne i umysłowe wytwarzają całe szeregi przestępców, są ukrytą przyczyną wielkiej ilości zbrodni.

Oprócz zdeklarowanej choroby umysłowej, wyłączającej wszelką poczytalność, medycyna, a za nią prawo karne, zna także stany połowicznej, częściowej nienormalności, w których czyny zdrowego napozór człowieka nie mogą mu być poczytane za winę, jako spełnione pod wpływem chwilowego zaćmienia umysłu.

Zaćmienie to może być powodowane przejściowymi fazami choroby umysłowej, podczas której człowiek, zupełnie napozór normalny, miewa chwilowe, niedostrzegalne prawie ataki obłądki, prowadzące częstokroć do spełnienia zbrodniczych czynów. Źródłem zaćmienia mogą być również wpływy epizodyczne: upojenie alkoholem, narkotykiem, długa bezsenność, nagłe przebudzenie się ze snu i t. p. Przyczyną zbrodni bywa także często dziedziczne lub nabyte zwyrodnienie, będące skutkiem niektórych chorób fizycznych u rodziców lub u samego przestępcy; częstokroć pochodzące z systematycznego zatruwania organizmu alkoholem, nikotyną, morfiną, opium, meskalem, haszyszem *). Alkohol to jeden z najpotężniejszych czynników zwyrodnienia, jedna z najpoważniejszych przyczyn zbrodni. Według słów Gladstone'a, żadna wojna ani zaraza nie zro-

biła ludzkości, tyle krzywdy, nie pochłonęła tylu ofiar, co alkohol.

Teoria Lombrosy nie utrzymała się w całości, niemniej przeto, był on jak Beccaria, prawdziwym Cezarem na polu kryminalistyki. Nieśmiertelną jego zasługą jest i pozostanie to, że zwrócił uwagę świata na przyczyny zbrodni. Dzięki jego teorii, rozsypało się w gruzy staroświeckie wierzenie w *złą wolę* przestępcy; uczeni rzucili się do badań nad przyczynami przestępstw. Po szkole antropologicznej, wytworzonej przez Lombrosę, przysłała druga, socjologiczna, a na jej czele stanęli Ferri i Garofalo. Szkoła ta opiera się na zasadzie, że każde przestępstwo ma wyraźną *zewnątrzną* przyczynę, bez której nie zjawiłoby się na ziemi, że przyczyny przestępstw leżą części w nienormalnościach fizycznych przestępcy, po części zaś w zewnętrznych warunkach jego bytu, w sferze, której on się wychował i wykształcił.

Dzisiejsza nauka dzieli przestępstwa na dwie kategorie: fizyczne i socjologiczne.

Pierwsze—to nienormalności fizyczne i umysłowe, to choroby i zwyrodnienie. Na to ratunek wychodzi po za sferę prawa karnego, tego rodzaju przyczyny zbrodni może usunąć tylko medycyna. Rozwój medycyny i psychiatrii, lepsze urządzenie zakładów leczniczych, większa opieka nad chorymi umysłowo i zwyrodniałymi fizycznie — to najlepsza broń przeciwko wielu najpotworniejszym zbrodniom.

Przykładów przyczyn fizyologicznych nie będę przytaczał—każdemu aż nadto są znane przestępstwa spełniane przez obłąkanych, furjantów. Każdy rozumie doskonale, że z chorobą może walczyć skutecznie tylko lekarz.

Przyczyny socjologiczne leżą w warunkach życiowych, jakie się złożyły na urobienie charakteru przestępcy i w tym szczególnym zbiegu okoliczności, jaki wywołał przestępstwo w każdym konkretnym wypadku.

Bardzo wielu przestępców dlatego jedynie nosi to miano, dlatego staje przed sądem i odsiadyuje więzienie, że całe niemal życie zmusiło ich do skalania rąk zbrodnią. Weźmy dla przykładu bandę opryszków, którzy przed chwilą właśnie dokonali pomyślnego napadu, a teraz, obciążeni łupem, wracają pospiesznie do niedostępnej jaskini. Wysłano za nimi pogoń na wszystkie strony, ścigający dyszą pragnieniem zemsty: jeśli rabusie dadzą się złapać, zapewne nie ujdą z życiem. A czy choć jeden z myślicieli pomyślał nad tem, z kogo się składa banda złoczyńców?... oto jeden nich przed laty za niewielkie jakieś przestępstwo został skazany na więzienie z pozbawieniem szczególnych praw, a co za tem idzie, po odbyciu kary, wyznaczono mu tak zwany „pobyt.“ Wysłano go do odległej miejsciny i tam oddano pod dozór władzy miejscowej. Z początku miał on najlepsze chęci, chciał pracować, szukał zajęcia, ale nie znalazł. Wszystkie drzwi zamknęły się przed nim, od wszystkich progów odtrącono go ze wzgardą. W mieście, gdzie miał pobyt przymusowy, wszyscy wiedzieli o jego przeszłości i każdy obawiał się wpuścić go pod dach. Iść na zarobek gdzieindziej nie mógł, bo „pobyt“ przykuł go do

miejscu. Kilka złotych, otrzymanych przy opuszczeniu więzienia, wyczerpało się prędko, nowego zarobku nie było, a tymczasem żołądek coraz głośniejsze dopominał się o swoje prawa. Droga uczciwej pracy była zamknięta, jałmużny nikt dać nie chciał, pozostawało jedno tylko wyjście — kraść. Drugi członek bandy—to podrzutek; znalazł go w rowie przy drodze i wykarmiono resztkami pożywienia, których nie chciały jeść psy. Od małego dziecka sypiał na dworze, obchodzono się z nim gorzej, niż ze zwierzęciem, ledwie nauczył się chodzić i mówić, kazano mu pracować od świtu do późnej nocy, a w nagrodę za to obdarzano szturchańcami i wymyślaniami. O moralności nikt mu nigdy nie mówił, pojęcie własności było mu nieznanem: jedyną etyką było dlań odrobić to, co mu kazano, i w ten lub inny sposób uniknąć szturchańców. Nareszcie, kiedy wyrósł i zaczął jeść więcej, niż dla niego przeznaczano, uznano go za darmożjadę i wypędzono na cztery wiatry. I on nie znalazł zajęcia i musiał szukać środków do życia na nieprawej drodze. Trzeci miał chatę i kawałek gruntu, ale mu się jakoś nie wiodło: jednego roku bydło mu wyzdychało, drugiego grad wybił zboże, trzeciego chałupa się spaliła, a nie była ubezpieczona. Na życie i podatki zadłużył się u miejscowego lichwiarza, ale wobec ciągłych niepowodzeń nie mógł spłacić zaciągniętej pożyczki, procenty rosły coraz bardziej, wreszcie sprzedano mu grunt i zostawiono wraz z rodziną pod gołym niebem. Wkrótce nie było za co kupić chleba. A tymczasem chora żona koniecznie potrzebowała lekarstwa, wynędzniałe dzieci wyciągały drobne ramiona, wołając: „jeść!“ Coż było robić? Trzeba się było chwycić jedynej drogi, która przy szczęśliwym zbiegu okoliczności mogła wybawić z nędzy. Uczciwa praca nie dała chleba, trzeba było zwrócić się do kradzieży *).

Tutaj przyczyny socjologiczne popchnęły tych ludzi do zbrodni. Gdyby pierwszy z nich, po pierwszym fałszywym kroku dostał się do racjonalnego domu poprawy; gdyby drugiemu dano jakie takie wychowanie etyczne, a do trzeciego wyciągnięto dłoń pomocną w chwili najcięższej walki z nędzą — możeby wszyscy trzej byli najuczciwszymi ludźmi.

(Dokończenie nastąpi).

TOWARZYSTWO

Opieki nad chorymi pozaszpitalnymi, pod wezwaniem Św. Antoniego.

Cheąc przekonać się dowodnie, czego dokonąć mogą: wytrwała, przez szereg lat długich nie słabnąca energia i wielkie, miłosierne serce jednej kobiety, dość jest zwiedzić ambulatoryum bezpłatne, mieszczące się przy ulicy Jasnej pod n-rem 1-ym, założone przez hrabiankę Julię Witold-Aleksandrowiczównę

*) Mogilnicki: „Obrona kryminalny a opinia publiczna.“ Warszawa 1901, str. 12.

*) „Obrona,“ str. 13 i 14.

i pozostające stale pod jej niezmordowanym kierownictwem.

Dnia 11-go b. m. byłam obecną poważnym naradom, mającym na celu jeszcze szersze rozwinięcie działalności owego ambulatoryum, inaczej Towarzystwa Opieki nad chorymi pozaszpitalnymi. Narady miały na celu uzyskanie pozwolenia na utrzymanie paru łóżek stałych i prawa przygotowywania wykwalifikowanych, doskonale wyćwiczonych dozorezyń, któreby w następstwie znaleźć mogły pole pożytecznej dla społeczeństwa, dla siebie zaś szczytnej, a zarazem korzystnej pracy, bądź to w szpitalach, bądź w domach prywatnych.

Gożąco przyjęto kwestyę, o której niedawno szeroko w „Bluszczu“ pisałam; pociągnięta osobistością założycielki tak dobroczynnej instytucji, osobistości, która łączy w sobie hart duszy niezłomny, żelazną wytrwałość czynu, obok zaparcia się siebie i najczulszego, isticie macierzyńskiego dla cierpiących biedaków serca, pospieszyłam na ulicę Jasną, aby własnymi oczyma obejrzeć zakład, w którym tysiące najbiedniejszych znajdują poradę lekarską, opatrunek troskliwy, a często i do dalszej kuracji potrzebne środki wzmacniające i lekarstwa.

Byłam więc tam, widziałam, jakby interwiewer jaki wymęczyłam szlachetną filantropkę pytaniami bez końca i spisuję te wrażenia moje, o których śmiało rzec mogę, iż do krzepiących ducha i wielce podniosłych należą.

Przedewszystkiem spotkałam się z prostotą idealną.

— I cóż ja pani opowiem? — spytała mnie hr. Alexandrowiczówna ze zwykłą sobie żywością, — najlepiej, niechaj pani pyta, a ja tylko odpowiadać będę.

Idąc zatem drogą pytań uzupełniłam szczegółły, zebrane na posiedzeniu Towarzystwa Opieki nad choremi pozaszpitalnymi, i z podziwem kreśliłam w myśli obraz działalności jednej jedynej kobiety, która sumą pracy, zdobytej wiedzy i doświadczenia mogłaby obdzielić dusz kilka.

Na słowa najżywszego uznania rzekła tylko:

— Miłosierdzie zaczynam od siebie samej. To, co czynię dla innych, mnie czyni życie miłym.

Instytucya, której byt i rozwój stały się jedynym celem zażę filintropki, powstała na gruzach jej własnego szczęścia. Straszna katastrofa, która wstrząsnęła jej sercem, jednocześnie wzbudziła w niem pragnienie przyjscia z pomocą bliźnim i zahartowała je na trudną drogę mozolnej a wzniosłej pracy.

Raz powziąwszy myśl utworzenia jakiejś instytucji, która stałaby się ratunkiem dla biedaków, bądź to nie posiadających środków na leki i opatrunki, bądź nie mogących znaleźć pomieszczenia w przepelnionych często szpitalach, hr. Alexandrowiczówna nie ulękała się żadnych trudności, nie cofnęła przed czynnościami, przy których przywykliśmy spotykać jedynie prawdziwie powołane siostry miłosierdzia.

Dla nabycia wiedzy specjalnej, nietylko teoretycznej, lecz i praktycznej, przez lat dwanaście uczyła się, pracowała, przebyła szkołę pielęgowania chorych pod kierunkiem zna-

komitych specjalistów, osobiście dozorując i obsługując chorych w szpitalach za granicą i w Warszawie.

Już w r. 1882-im udała się do Lyonu, aby bliżej zapoznać się z działalnością Stowarzyszenia dobroczynnego, istniejącego tam pod nazwą: „Les dames du Calvaire,“ poczem pracowała w Paryżu, korzystając wiele z rad i wskazówek d-ra Mery. Podczas zimy przez lat trzy, t. j. w r. 1883, 1884 i 1885 praktykowała w szpitalach w Wiedniu, a praktykę tę odbywała pod przewodnictwem sławnego chirurga, profesora Billrotha, w tejże samej zaś epoce, w miesiącach letnich, czynną była w szpitalach w Warszawie, zwłaszcza na Pradze, przy s. p. doktorze Jawdyńskim. Od r. 1891-go do 1893-go przebywała, dla dalszego kształcenia się, w Berlinie.

Tak gruntownie przygotowana, zbrojna w energię i żelazną wytrwałość, pełna otuchy i wiary w rozwój szczytnego przedsięwzięcia, hr. Alexandrowiczówna, przy pomocy dra Skowrońskiego, dnia 8-go grudnia r. 1893-go, otworzyła pierwsze małe ambulatoryum przy ulicy Jasnej.

Dzieje onego ambulatoryum i nadzwyczajnie szybki napływ szukających pomocy, dowodzą aż nazbyt jasno, jak dalece dobroczynnie pożyteczną okazała się podobna instytucya. Ambulatoryum wzrastało z każdym miesiącem; z ulicy Jasnej, gdzie mu wkrótce było za ciasno, przeniosło się na Erywańską, z Erywańskiej na Włodzimierską, gdzie jako ambulatoryum doktora Skowrońskiego pozostaje dotychczas i gdzie zajmuje pomieszczenie złożone z 6-iu pokojów, dwóch przedpokojów i kuchni, zamienionej na pralnię.

Najglówniejszą pomoc doktora Skowrońskiego stanowi sama założycielka ambulatoryum, już to jako dostarczycielka i zabiegliwa zbieraczka środków materyalnych, już to jako czynnie przykładająca ręki do każdego w ambulatoryum zajęcia, oraz kierowniczką całego zastępu dozorezyń.

Działalność ambulatoryum da się streścić w paru cyfrach, które najwymowniej świadczą do jakiej doniosłości doszedł pożytek niesiony społeczeństwu przez tę dobroczynną instytucyę. Oto przez ciąg ostatnich lat sześciu pomoc lekarską znalazło w ambulatoryum przeszło sto tysięcy chorych, lekarstw zaś wydano w 25 tysiącach wypadków. Chyba zbytęcznymi są tu dalsze komentarze, dodam tylko, że działalność ambulatoryum wzrosła obecnie do tego stopnia, iż niepodobna jej pomieścić się w dotychczasowym zakresie.

Bodźcem uznania zagrzana, hr. Alexandrowiczówna zapragnęła dla swego dzieła czegoś więcej. Zapragnęła móż zatrzymać u siebie, choćby tylko tymczasowo, tych biedaków którym opatrunek w ambulatoryum nie wystarcza, a którzy w oczekiwaniu na wolne łóżko w szpitalu do reszty tracą siły; zapragnęła to, co zdobyła przez lata wytrwałej, dzielnej pracy, choć w części przekazać innym i przygotowane pod swem okiem dozorezynie chorych, wysyłać w świat nietylko z dostatecznym zasobem specjalnej wiedzy, lecz i z prawdziwym umiłowaniem obranego zawodu w duszy.

Atoli dla urzeczywistnienia owych pragnień, środki, jakimi, przy największej zabiegliwo-

ści hr. Alexandrowiczówny, ambulatoryum rozporządzało, okazały się za szczupłe. Postanowiono więc zorganizować Towarzystwo. Ustawę bezinteresownie opracował adwokat, Konstanty Budny, a gdy ta przez władzę zatwierdzoną została, poczęto czynić zabiegi o pozyskanie członków, którzy dzielą się na dwie kategorye: członków-założycieli ze 100 rublowym wkładem, — i członków rzeczywistych, płacących rocznej składki rubli 10.

W tej chwili Towarzystwo liczy około 80-iu członków, wnoszących sumę 2,000 rub., a pierwsza ich narada, owo posiedzenie zebrania ogólnego, o którym wspomniałam, odbyło się w mieszkaniu hr. ordynata Krasieńskiego i uchwaliło przyjęcie ofiarowanego przez doktora Skowrońskiego ambulatoryum i oddanie go na własność nowemu Towarzystwu z d. 1-ym stycznia roku 1903-go, pozostawiając je pod dotychczasowym kierunkiem hr. Alexandrowiczówny i d-ra Skowrońskiego, któremu od początku zacnego tego przedsięwzięcia nie brakło i tak samo dziś nie braknie chętniej i gorliwej pomocy kolegów.

Regulamin wewnętrznego urządzenia zostanie szczegółowo opracowany i przedstawiony do rozpatrzenia na przyszłym zebraniu ogólnym; debatowano jeszcze tylko nad rzeczą, która tak bardzo leży hr. Alexandrowiczównie na sercu, nad utworzeniem w nowej instytucji szkoły dozorezyń. Rzecz tę, niestrużona przewodniczką instytucji należycie sama zbada, a że niejedno smutne spotka ją tu rozczarowanie, że będzie miała niezliczone trudności i przesady do zwalczenia, że ją tyścienne czekają przykrości, wie ona zawczasu dobrze. To jej przecież nie zraża, przeciwnie: nowych sił dodaje, nowy w niej budzi zapał.

— Nie uwierzy pani — mówiła mi, — jak trudno znaleźć nie tylko zdolną, odpowiednią osobę na dozorezynię, ale i prostą kobietę do zwyczajnej, a dobrze zapłaconej pracy. Słyszemy ciągle utyskiwania na brak sposobów zarobkowania, na zbyt wielką liczbę rąk poszukujących pracy, a gdy masz naprawdę pracę do zaofiarowania, spotykasz się na każdym kroku z próżniactwem albo śmieszniemi pretensjami. Ta, która ma, za dobre zresztą pieniądze, prac i szorować, chciałaby siedzieć z założonemi rękoma, ta znów, która ma zostać opiekunką i tak, jak ja, prawdziwą sługą chorego, powiada mi, że ona chce być tylko do zarządu. A do czegoż ja tu jestem? I śmiać, i gniewać miałyby się nieraz ochotę.

Szlachetna kobieta zamysliła się na chwilę, poczem dodała ciszej:

— Co tam!... jak się to wszystko ułoży, w jaki sposób nadal pracować będziemy... nie wiem jeszcze, zobaczymy!... Nie tracę nadziei, że będzie dobrze, bo przez miłość bliźniego dochodzi się daleko i zawsze właściwą znajduje się drogę...

Zofia Seidlerowa.



STAROŻYTNE SPOSOBY upiększania ciała w Wenecyi.



Z czasów Rzeczypospolitej weneckiej pozostałe w archiwach dokumenty, zawierają między innymi i wiele ciekawych szczegółów o sposobach, używanych dawniej przez Wenecjanki w celu podniesienia wdzięków. Wydobądźmy te tajemnice z pyłu zapomnienia i ukážmy je światu, choćby dla tego, aby odeprzeć zarzut pesymistów, iż tylko dzisiejsze kobiety starają się upiększać za pomocą środków sztucznych.

Najpierw tedy dowiadujemy się, że fryzjer za czasów Rzeczypospolitej weneckiej cieszył się powszechnym szacunkiem, a zajmował się nie tylko swoim rzemiosłem, ale leczeniem chorób wewnętrznych i chirurgią. Przed upadkiem Rzeczypospolitej Wenecjanie do najwyższego stopnia bawili się własnymi wdziękami. Pragnąc nadać woń przyjemną swemu ciału, nacierali się najsilniejszymi esencjami, a pragnienie to dochodziło do tego, że niektórzy nawet jedzenie przed spożyciem skrapiali perfumami.

W jednym z rękopisów biblioteki św. Marka znalazłem wzmiankę, że białosc zębów osiągnano za pomocą preparatu, złożonego z gummy arabskiej, aloesu, irysu, kwasów i krwi drakońskiej. W celu zapobieżenia tworzeniu się zmarszczek na twarzy, używano pomiotu gołębiego, moczonego w occie. Kopyta świńskie utarte ze słodkimi migdałami, uważane były za środek zachowujący damom wieczną młodość i piękność!

Niejaki Bernardi, jak opiewa dokument autentyczny, doszedł do tego, że polecił w testamencie własnoręcznym, aby po śmierci ciała jego było namaszczone piżmem i octem wonnym, na co przeznaczył sumę 40 dukatów.

W starożytnym mieście Dozów posiadano cały arsenał środków na porost włosów. Szybki porost włosów zapewniony był podobno po staranem nacieraniu maścią, przygotowaną z koziego mleka, popiołu trzciniowego i siemienia lnianego. Kto zaś pragnął mieć włosy cieńsze i miękkie, powinien był używać maści z saletry, soli, pumeksu i olejku migdałowego.

Najpewniejszym środkiem na zachowanie wypadających włosów była krew nietoperza, przygotowana z sokiem rzepy i krwią kozią. Łysiny smarowano muchami hiszpańskimi, przesmażonemi w maśle.

Bardzo mała ilość kobiet zachowywała naturalny kolor włosów swoich: mocz psi po pięciodniowej fermentacji farbował włosy na kolor czarny. Podobno od tego środka włosy nabierały barwy najpiękniejszego hebanu. Jednakże, jak nas przekonywają obrazy Tycyana i Palmy Vecchio, w Wenecyi najmodniejszym był kolor jasno-blond włosów. Przytaczam tu receptę dosłownie przepisana:

„Wziąć pokarmu od kobiety karmiącej dziecko i zmieszać go ze znaczną dozą nasienia rybnego. Przechować tę mieszaninę w ciągu dziesięciu dni, a następnie dobrze wycisnąć olej, który posiada tak dziwną siłę, że gdy posmarować nim włosy, nabiorą one natychmiast barwy złocistej. Nacierając tym samym płynem twarz, otrzymamy piękną i zdrową cerę.“

Weneckie środki kosmetyczne stosowane były nie tylko w celu wywołania piękności, lecz używane były również, jako środki lecznicze.

Piżmo, naprzykład, przygotowane ze spirytusem melisowym i białem winem, wywoływało rumieniec na policzki i usuwało plamy z twarzy; łyżeczka tej mikstury, zażyta na czczo, leczyła ból zębów, cierpienia sercowe i bóle nerwowe.

Do r. 1600-go fabrykacja mydeł cieszyła się niebywałym powodzeniem w Wenecyi. Później dopiero zawładnęli tym handlem mieszkańcy Tryestu. Mydło, naturalnie, również używane było jako lekarstwo — przeciw katarom i bólowi żołądka.

Pewien lekarz, imieniem Kohausen, stanowczo

twierdzi, że wodą mydłą wyleczył dziewczynkę, cierpiącą na epilepsyę.

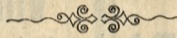
W końcu XVII-go wieku wziął górę nad wszelkimi innymi kosmetykami, przywieziony w r. 1668-ym z Flandryi puder ryżowy, który Wenecjanie wkrótce zaczęli sami wyrabiać, a senat na ten produkt, pochodzący z obcych krajów, nałożył bardzo wysoką opłatę na rzecz skarbu, by w ten sposób dać pierwszeństwo fabrykatom miejscowym. Początkowo pudrem obficie posypywano peruki i własne włosy, ale z tego powodu też pojawiały się najrozmaitsze choroby skóry na głowie.

Wiele dam z arystokracji poświęcało dziennie po kilka godzin, w ciągu których fryzjerzy pracowali w pocie czoła nad przyozdobieniem nie zawsze z natury pięknych dam. Prócz tego, ci sami fryzjerzy najczęściej albo byli sami w roli kochanków, albo pośrednikami w sprawach miłosnych.

W Wenecyi istniała nawet specjalna fabryka, wyrabiająca „muszki“, a właściciel tej fabryki dorobił się podobno kolosalnej fortuny. Wypomadowane do niemożliwości włosy, silnie naperfumowana odzież i twarz upstrzona muszkami — stanowiły niepodzielną całość z damą, pragnącą uchodzić za nadobną.

Nie spoglądajmy więc dziś z podziwem na upudrowane twarze, oblepione muszkami wdziękami, bo... wszystko to już było!

L. O.



Kronika działalności kobiecej.



— Na posiedzeniu wydziału wychowawczego Towarzystwa higienicznego, odbytem w sobotę, d. 14-go b. m., panna A. Szycówna odczytała referat p. t. „Spostrzeżenia nad zabawami w ogrodach imienia W. E. Rau'a.“

— Zarząd Warszawskiego Towarzystwa dobroczynności zamianował p. Zofię Wysok na posadzie lekarza-konsultanta chorób zębów przy ochronach: 17-ej, 18-ej i 19-ej, oraz szwalniach: 9-ej i 10-ej.

— Stowarzyszenie filantropijne w „Paryżu „La société filantropique“, założyło specjalny hotel wyłącznie dla kobiet, nie mających środków na „wnoszenie“ wysokiej opłaty za swe pomieszczenie. Hotel zbudowany na podobieństwo Londyńskich „Bouxtou Houses“, znajduje się pomiędzy dzielnicami: Batignoles a Montmartre, przy rogu ulicy des G-des Carrières i ulicy Carpeaux. Cena pokoi wynosi od 0,85 do 1,25 fr. na dobę, miesięcznie od 14—30 franków. Hotel obsługiwany jest wyłącznie przez kobiety. W zarządzie też same tylko kobiety znajdują zajęcie.

— W Ems otworzony został dom zdrowia pod nazwą „Burg-Stein“, dla nauczycielek potrzebujących kuracyi. Nauczycielki, które w owym domu („Kurasyl“), z rekomendacyi „Stowarzyszenia nauczycielek“ zamieszkują, wolne są od opłaty za kurację, poradę lekarską i mieszkanie. Opłata za jedzenie i różne, dopełniające kurację potrzeby, obliczana jest jak najtaniej. Każda z przybywających do „Burg-Stein“ na kurację, winna przedstawić świadectwo lekarza należącego do „Stowarzyszenia“, o konieczności dla niej takich, lub innych środków leczniczych. Chore tuberkuliczne są wykluczone. Zarząd willi „Burg-Stein“ zajmuje się też wyjednaniami dla swych pensjonarek ulg przy opłacie taryfy kolejowej.

Z. S.



ODPOWIEDZI.

— Pani W. Żeleńskiej w Krakowie. — Pomiędzy szczegółami o wystawie urządzonej w Paryżu przez stowarzyszenie „Fédération féministe“, jakie poczerpnęłam z pism francuzkich, nie znalazłam wyraźnej wzmianki czy wyż przytoczona wystawa jest międzynarodową, czy tylko miejscową. Pospieszę zwrócić się z zapytaniem w tej kwestyi wprost do zarządu „Fédération“ i odpowiedź, jaką otrzymam, bezzwłocznie umieszczę w „Bluszczu“, w niniejszej rubryce.

— *Stalej prenumeratoree z L.* — Pomimo stalego dążenia ku temu, by zadowolić każde życzenie prenumeratorek naszych, niepodobna byłoby nam w krótkim czasie pomieścić rycin i formy żadanego gorsetu. Staniczki odpowiednio przygotowane, łatwe do rozluźnienia nie tylko na plecach, lecz i na bokach, znajdzie Szan. pani w każdej pierwszorzędnej fabryce gorsetów w Warszawie. Oglądałam doskonale sporządzone w kilku miejscach: w fabryce Steinerja (Ś-to-Krzyżka nr 34), w fabryce pod firmą „Concorde“ (Ś-to-Krzyżka nr 5) i w fabryce p Gullmann, pod firmą „Sylvia“ (Nowo-Senatorska nr 12). W gorsetach takich włos zastępuje brykle i fiszbiny, materiał zaś na gorsety użyty może być jak najlżejszy, nawet ażurowy. Aczkolwiek gorsety, o których tu mowa, sporządzone są, o ile to możliwe, z uwzględnieniem przepisów higienicznych, z naszej atoli strony, radzimy szczerze Szan. prenumeratorece zupełnie zaniechać noszenia gorsetu przez czas pewien; zawsze to zdrowsze, tak na „teraz“, jak i na „potem.“

Z. S.



OD ADMINISTRACYI.

Celem uniknięcia zwłoki w przesyłaniu naszego pisma, upraszamy Szan. Prenumeratorki o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartał przysły.

Zwracamy przytem uwagę, że dla uniknięcia wszelkich nieporozumień, najlepiej wysyłać listy pieniężne bezpośrednio do Administracyi „Bluszczu“ (Ś-to-Krzyżka, 11).

Treść numeru:

Polki we współczesnej literaturze i sztuce: II. Deotyma (Jadwiga Łuszczewska), przez Leona Rygiera. — Przystań, powieść współczesna, przez J. Terpiłowską (ciąg dalszy). — Odraconej (wiersz), przez Tadeusza Kończycza. — Pogadanki pedagogiczne Narcyzy Żmichowskiej, w opracowaniu Wandy Żeleńskiej (ciąg dalszy). — Luta, szkice do powieści, przez Gustawę Toporeczankę (ciąg dalszy). — Walka ze zbrodnią, odczyt Alexandra Mogilnickiego (ciąg dalszy). — Towarzystwo opieki nad chorymi pozaszpitalnymi pod wezwaniem Ś-go Antoniego, przez Zofię Seidlerową. — Starożytność sposoby upiększania ciała w Wenecyi, przez L. O. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Odpowiedzi. — Od Administracyi. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz szósty powieści R. Monlaur'a p. t. „Promień“, w przekładzie M. ...t.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 30), oraz Tablica krojów.



Korzystajcie póki jestem z wami!

Każdy z nas jest śmiertelny. Dziewiętnaście wieków trzeba było czekać zanim zjawił się

JAN IDZIKOWSKI fotograf,

który daje portret naturalnej wielkości za pięć publi, 15 wizytowych za trzy puble i 15 gabinetowych za sześć publi sposobem platynowo-matowym.

Erywańska 14, w Warszawie.

P. S. Tym, których pasja i zawisć napada, obdarzając mnie bezimiennymi odkrytkami, zasylam „Bóg zapłać.“

ZOSTAJĄCE POD ZWIERZCHNICTWEM MINISTERJUM SKARBU

Kursy Handlowe Żeńskie

Z pensjonatem **Teodory RACZKOWSKIEJ**
Żórawia № 6.

Zapis słuchaczek na r. 1902/3 i egzaminy dla nowowstępujących od d. 15 maja.

Kursy wieczorne roczne pojedynczych przedmiotów specjalności handlowej, grup takowych, oraz języków nowożytnych. Zapis słuchaczek od d. 15 maja.

ŚMIERĆ

MUCHOM



Marka fabrycz.

Żądajcie „Grip” z globusem!

zatrzymuje każdą muchę przy najmniejszem dotknięciu.

! Strzedz się falsyfikatów !

Kto prawdziwy „Grip” nie spróbuje, bierze falsyfikat na którym sprzedający więcej zarabia przez co chętniej sprzedaje. Przedstawiciel na Rosji: ZYG. MAMLOK w Warszawie i Sosnowcu.

Złatwiam pogrzeby od rbl. 25

do najwykwintniejszych. Trumny metalowe od rb. 30, drewniane od rb. 12 i dębowe. Wieńce metalowe od kop. 75. Makarta zasuszone od k. 60 Szarfy. Pochodnie. Paki smolowane do przewozu ciał.

Krepy czysto jedwabne (angielskie) w wielkim wyborze od 70 kop. za lokiec. Odświeżam krepe.

100 kapeluszy z woalami od rb. 4. Suknie od rbl. 15. Spódnice z krepa od rbl. 7 kop. 50. Ubiory pośmiertne.

Z. FIJAŁKOWSKI

Senatorska 26,
(wprost kościoła św. Antoniego).
Mieszkam w tymże domu.
Powyższy towar wysyłam za zaliczeniem.

W. Golińska

Gmach Teatralny

poleca

Nowości w zakresie galanterii

**BRONZY, ALBUMY,
NESESERY,
WACHLARZE, RĘKAWICZKI,
RAMKI.**

GRONKIEWICZ

Królewska 5.

Telefon 1758 — w Warszawie.

Poleca osoby pracujące w dziale **Nauki Wychowania, Handlu, Przemysłu, Rolnictwa i Różne**, tylko z dobrymi poufnie sprawdzonymi referencjami.

Pierwszorzędne biuro nauczycielskie

GOLCZEWSKIEJ

Święto-Krzyżka 44.

Poleca nauczycieli, nauczycielki, bony, cudzoziemki, gospodynie, panny służące.

Egzystująca od 1882 roku

PRACOWNIA I MAGAZYN

Wyrobów Złotych, Srebrnych i Brylantowych

J. LIPOWSKI

w Warszawie, przy ulicy Trębackiej № 9.

Poleca wybór biżuterii złotej z drogiemi kamieniami, jako to: pierścionki, broszki, koleczki, bransolety, breloki, krzyżki, łańcuszki damskie i męskie, oraz srebro stołowe i fantazyjne.

Przyjmuje się zlecenia na żetony, medale pamiątkowe, monogramy, faksymile i wogóle na wszelkie obstalunki w zakres jubilerstwa wchodzące.

Znaczny wybór rączek srebrnych do lasek.

CENY FABRYCZNE.

Vin Saint-Raphaël

rekomenduje się jako toniczne, wzmacniające i pomagające trawieniu. najlepszy przyjaciel żołądka.

Broszura d-ra de Barre

o winie St. Raphaël, jako o pożywnym, wzmacniającym środku, wysyła się na żądanie.



Smak jego jest wymieniony.

Compagnie du Vin
Saint Raphaël

VALENCE, DROME,
FRANCE.

Ostrzega się przeciw podrabianiu.

Szkoła Kroju i Pracownia Sukien

„ROMANA”

Warszawa, Erywańska 14.

Przyjmuje uczennice na stałe i przychodnie, (wydaje patenta cechowe). Wykonują, suknie, szlafroki, bluzki, halki, matinki.

CIECHOCINEK

PENSYONAT „ZACHĘTA,

HELENY KUCZAŁSKIEJ

przyjmuje pod opiekę na czas kuracyjny dzieci i młodzież obu płci. Kuchnia zdrowa i obfita. Pianino, gimnastyka, masaż, gry rozmaite na miejscu. Szczegóły za nadesłaniem marki. — Warszawa, Moniuszki № 9, od 15 Maja — Ciechocinek.



FOSFATYNA FALIERA.

Przyjemny pokarm, najodpowiedniejszy dla dzieci w wieku od 6-ciu miesięcy do 10 lat, zwłaszcza w czasie odłączania od piersi i w okresie rośnięcia.

Sprzedaż w Składach Aptecznych i Aptekach.

Dla Pań! Dla Panów!



Płyn do utrzymania twarzy w ciągłej odporności przeciw wszelkim atmosferycznym i innym zewnętrznym wpływom.

BOROXYL
chłodzi, odświeża twarz, nadając cerze delikatną, matową białość.

✧ Cena flakonu 60 k. ✧

Żądać wszędzie.

Główna sprzedaż w aptece

F. ZAMENHOFA

Warszawa, Plac Żelaznej Bramy 8.

6-cio klasowy zakład naukowy żeński

S. TOŁWIŃSKIEJ z dniem 1-ym Lipca 1902 r. przeniesiony zostaje z ulicy Chmielnej 48

róg Zielnej, do specjalnie na ten cel wybudowanego gmachu przy

ulicy Ś-iej **BARBARY** Nr. 4.

Egzaminy przedwakacyjne dla nowowstępujących uczennic trwać będą od 10 Maja do 4 Czerwca.